

małodzież

PL ISSN 0465-7867 Nr indeksu 38 603

ZIELONA GÓRA 10 VII — 23 VII 1988 R.
ROK XXXII NR 14 [671] CENA 40 ZŁ

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Krzyżówka Lubuska
nagrody wartości
250 000 zł

W KAŻDYM KIOSKU „RUCHU”
W GÓRZOWSKIM I ZIELONOGÓRSKIM

cena 80 zł
Zielona Góra
czerwiec-wrzesień
1988 rok



małodzież

**W CZUWANIE
DOMU KOBIET**
Czego pragnie dziewczyna?
„NAROD
BEZ PAŃSTWA” - polemiki
Konkurs Wakacyjny
SCENY
Mitosne

Życie w kamieniu i drewnie

Na pokonkursowej wystawie w roku 1969 w Zielonej Górze aż trzy nagrody w dziale rzeźby otrzymał Józef Cyganek. Wydawało się wtedy, że jest to artysta, o którym w Zielonej Górze, a może i trochę dalej, będzie głośno. Stało się jednak inaczej. Wokół Józefa Cyganka zapanała tak rozległa cisza, że dopiero z pomocą Stefana Słockiego udało mi się ustalić, co dzieje się teraz z tym przebojowym i obiecującym rzeźbiarzem z 1969 r. Otóż Józef Cyganek mieszka sobie wraz z rodziną najspokojniej w Zielonej Górze i po prostu rzeźbi.

— Dlaczego o panu tak cicho?

— Może dlatego, że nie udzielam się społecznie. Po prostu rzeźbię. Mogę powiedzieć, że nie rzeźbię do magazynu, wszystkie prace idą w świat.

— Na wystawie w BWA w Zielonej Górze w roku 1969 dostał pan nagrodę za rzeźbę pt. „Wietnam”. Do dziś wydaje mi się, że to nie była rzeźba, a podrzeźbiony granit.

— Bo też tak chyba powinno być. Kamień to nie jest glina, ani gips. Kamień, jak mu się dobrze po rzeźbiarsku przyrzec, ma już od urodzenia swoją duszę, swoją strukturę, swoją formę. Trzeba to tylko odsłonić, pokazać to piękno zaklęte w kamieniu. Dlatego może to i prawda, co pan mówi, że bardziej podrzeźbiam, niż rzeźbię.

— Powiedział pan wcześniej, że nie udziela się politycznie ani społecznie. Ale w roku 1969 dostał pan nagrodę za rzeźbę „Wietnam”. Przypada pan, że jest to jednak temat polityczny.

— Moje wyznaczenie w tym względzie jest proste: artysta nie powinien należeć do niczego poprzez legitymację, powinien natomiast należeć do czegoś poprzez sztukę, jaką robi. W Słubicach stoi powstałe pod moim dółtem popiersie Lenina. To chyba nie jest sprzeczne z tym, co powiedziałem przed chwilą.

— W pana pracowni i w mieszkaniu widzę wiele rzeźb w drewnie. Z tego też materiału powstały paskie rzeźby eksponowane w Dziale Winiarskim Muzeum Okręgowego w Zielonej Górze. Drewno i granit. Przypada pan, że są to materiały pod każdym względem od siebie odległe.

— Może nie pod każdym względem, albowiem drewno, podobnie jak kamień, też ma swoje wnętrze, swój świat, strukturę. Największa różnica polega na tym, że kamień stawia większy opór, ale zarówno w drewnie jak

i w kamieniu nie chodzi przecież o to, żeby walić młotkiem, żeby narzędzie bezmyślnie wbijało się w ów świat, w to życie jakie od dawna istnieje w kamieniu albo w drewnie. Mówiąc najprościej chodzi tu o odsłonięcie pewnych istniejących już w materiale wartości estetycznych, wartości naturalnych. Trochę jest to tak, jak z jajkiem — wiemy, że w środku jest jakiś załazek życia, chodzi więc teraz o to, żeby temu życiu ułatwić narodziny. Skorupka sama odpada pod naporem życia.

— Jajko w skorupce też jest piękne.

— Tak, ale tu wpuszcza mnie pan już chyba w filozofię. Mojej sztuki nie rozpoczynałem od manifestów filozoficznych. Myślę nawet, że sztuka kończy się w tym miejscu, gdzie twórca zaczyna filozofować. Artysta powinien mówić językiem sztuki, od filozofii są inni.

— A jak to się u pana zaczęło? Gdzie i od kogo uczył się pan sztuki?

— Urodziłem się w roku 1939, sześć kilometrów od Ojcowa. W 1960 roku zdałem egzamin do Liceum Sztuk Plastycznych im. Kenara w Zakopanem. Studia rozpocząłem i skończyłem w Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Moi profesorowie — to Jacek Puget i Bazyli Wojtowicz — autor pomnika Adama Mickiewicza w Poznaniu.

— Ojców, Poznań, Zielona Góra — jakie małe życie. „Tour de Pologne”.

— Profesor Wojtowicz proponował mi asysturę, ale Poznań mi „nie leżał”. Przypomniałem sobie, że kiedyś z oboma chłopcami od Kenara biegałem. Sławie odwiedziliśmy Zieloną Górę. Coś mi z tej wyprawy zostało. Przyleciałem tu z moim starym kuferkiem, w PSP powiedziałem, że jakoś tu żyć

ciąg dalszy na str. 4



Dziewczyna i lato... Na zdjęciu Katarzyna Zawadzka — Miss Polonia '86.

Fot. BRONISŁAW BUGIEL

Opinie i refleksje

GORĄCA KONFERENCJA

Od czasów leninowskich, stwierdziły zgodnie wszystkie agencje prasowe, nie było tak gorącego, kontrowersyjnego forum radzieckich komunistów. Wszystkie odbywało się przy otwartej kurtynie, nie do pomyślenia nawet jeszcze trzy lata temu, a wielu mieszkańców ZSRR domagało się, by przebieg Konferencji w całości transmitować na żywo. Jawność, głośność po raz już nie wiadomo który okazała się rzeczywistością radzieckiego życia politycznego. Nie przemawiano „pod prezydium”, każdy, kto zabierał głos, mówił według swojego oglądu rzeczy i własnego partyjnego sumienia. Dochodziło do niespotykanych od sześćdziesięciu lat spórów, kontrowersji, polemik, w których nikt nie czuł się oszczerzonym. Partia radzieckich komunistów, która jeszcze niedawno wydawała się być plakatem i zastęgią w marmurach, znowu powróciła do swoich leninowskich źródeł. Rewolucja rewolucji trwać, pisały agencje. Przebudowa wszystkich dziedzin życia tego państwa — kontynentu stała się procesem nieodwracalnym.

Blisko czterogodzinne przemówienie Michaiła Gorbaczowa, gorące, pełne akcentów polemicznych, inspirowane różnorodnymi refleksjami i ową wielogodziną dyskusją, jakie nigdy dotąd kremlo-wski pałac zjazdów nie słyszał, powiedział chyba wszystko o dzisiejszej kondycji partii i państwa radzieckiego, o przyszłości socjalizmu. Każdy, kto był w ZSRR na początku lat osiemdziesiątych i niedawno, bez trudu zauważył poprawę sytuacji gospodarczej, oczywiście, nie na miarę jeszcze możliwości i aspiracji tego supermocarstwa. Stało się to w wyniku większej swobody politycznej. Efekty trzynastego przebudowy są w wielu dziedzinach widoczne gołym okiem. Ale niewiele zadawała. Konieczny jest dalszy, głęboki proces demokratyzacji życia społeczeństwa radzieckiego: ograniczenia, żeby się po prostu określić UPI, „wszechwładzę KPZR”, co najczęściej pod tym pojęciem rozumie się dominującą w życiu politycznym i społecznym ZSRR rolę aparatu partyjnego. I zwiększenie uprawnień wybieralnych rad. Leninowski hasło „cała władza w ręce rad” znowu staje się bardzo aktualne. Stąd propozycja M. Gorbaczowa ustanowienia „radzieckiego systemu prezydenckiego”, jak to nazywali zachodni dziennikarze, czyli utworzenia wybieralnego na konstytucyjnie określony czas kadencji stanowiska „głowy państwa”.

Nic na Konferencji nie było „podane do wierzni”, o wszystkim szczerze się wypowiadało, każdy problem, chyba poza jednym, budził kontrowersje. Tym jednym problemem była biurokracja. Biurokracja, którą już tepłi Lenin, która bezzwzględnie wykiwała Majakowski. Biurokracja najmniejszych odcieni to dziś potężna przeszkoda na drodze pierestrojki. Symbolami biurokracji, których można było wskazać palcem, zostali obecni na Konferencji ministrowie. „Posłatym ich wszystkich, aby towarzyszy — powiedział o nich dyrektor zakładów przemysłu maszynowego w Iwanowie, a pięć tysięcy delegatów wybuchło śmiechem. Śmiały się nawet Gromyko, który ponoć śmieje się rzadko. — A jeśli nie zlapią żadnej, nie dajmy im pensji. Osobiście mógłbym się bez nich obejść. Nie widzę żadnego z nich pożytku”.

Ostro posprzeczano się też na temat prasy. Znani radzieccy pisarze Jurij Bondariw i Władimir Karpow zarzucili prasie nihilizm, nadużywanie „główności”, nadmierną krytykę radzieckiej przeszłości. Prasę wziął w obronę Michaił Ulianow, przewodniczący związku pracowników kultury, który stwierdził, że bez swobody prasy nie może nastąpić zmiana na lepsze. Grigorij Balkanow, redaktor czasopisma „Znamia”, też znany radziecki pisarz, chwalił wy-stąpienie Ulianowa powiedział, że Bondariw i Karpow wygłosili „haniebne przemówienia”. „Wstydzili się za nich”. Język Konferencji, a przynajmniej tu tylko jego znikome próbki, dowiodł, że czasy „okrągłych przemówień”, w radzieckim życiu politycznym odeszły do lamusa.

O XIX Wszzechzwiązkowej Konferencji KPZR z pewnością powstała dziesiątki książek, bo było to wydarzenie historyczne. Inicjator przebudowy Michaił Gorbaczow zdobył na niej „kolajne punkty”. To też określenie zachodnich dziennikarzy. Konferencja przyniosła sześć wielkiej miary dokumentów określających reformy systemu politycznego ZSRR. Pierestrojka wkroczyła w drugi niezwykle trudny etap. Niektórzy twierdzą, że zdecydował on o przyszłości socjalizmu nie tylko w Związku Radzieckim.

JACEK WOCH

Z prasy radzieckiej

Okres poprzedzający XIX Konferencję KPZR wypełniony był w Związku Radzieckim niezwykle ożywieniem intelektualnym. Dyskusje jakie toczono, nie tylko na łamach prasy, dotyczyły wielu sfer życia narodów tego wielkiego kraju i koncentrowały się wokół zadań zainicjowanej przez partię przebudowy. Z bogatego pokłosa tej dyskusji wybraliśmy obszernie fragmenty tekstu opublikowanego na łamach „Ogonioka” nr 22/88) dotyczącego zamierzonej reformy cen w ZSRR.

„Dzięki atmosferze jawności — stwierdza OGONIOK, w toczącej się w Związku Radzieckim dyskusji na temat reformy cen może wypowiedzieć się każdy — od uczonego ekonomisty po gospodynię domową, sprawa dotyczy bowiem wszystkich. Wyrażając nadzieję, że pole mika ta przyczyni się do wybrania optymalnego wariantu zrównoważonych cen zarówno artykułów przemysłowych jak i żywności, tygodnik udzielił na swych łamach głosu znanemu publicyście, ANDRIEJOWI NUKINOWI. Zwraca on uwagę, że ostatnio urzędnicy z departamentów finansowych i niektórzy ekonomiści nie szczędzą sił, by stopniowo przyzwyczaić radzieckie społeczeństwo do myśli o konieczności znacznego podniesienia cen artykułów pierwszej potrzeby. Chociaż przekonują z uporem, że wysokie ceny są lepsze od niskich, ich rozumowanie zdaniem autora jest mało logiczne.

UZDROWIENIE, CZY PODROŻENIE?

Andriej Nujkin pisze, że ekonomiści — „bojownicy o sprawiedliwość społeczną” już wyczyli, że ceny detaliczne żywności są średnio 2-krotnie niższe od kosztów jej produkcji, wobec czego w pierwszym rzucie trzeba będzie ceny 2-krotnie „uzdrowić”. Ale ekonomia jest nauką dalekosiężną i na tym nie koniec. „Trzeba znacznie podnieść ceny paliw i surowców, uwzględnić w nich rentę różniczkową, którą należy pobierać od przedsiębiorstwa jako opłatę za bogactwa naturalne” — uważa członek Akademii Nauk, Abel Aganbegian. Uczony ten — pisze autor — nie raz narzekał na (...) mechanizm naszej gospodarki sprawiaczy, że im więcej surowca i energii „wpycha” do swych wyrobów producent, tym to jest dla niego korzystniejsze (...). A jednak A. Aganbegian proponuje, by radykalnie podnieść ceny surowców i energii, aby dzięki temu zaczęto je oszczędzać. A dlaczego nagłe miałyby zacząć oszczędzać? — pyta Nujkin. Przecież przy podwyższeniu cenach każdy dodatkowy kilogram i każda dodatkowa kilowatogodzina „wepchnięta” w produkcję będą przynosiły producentowi jeszcze większe korzyści! Jednocześnie, proponowane „wyrównywanie” dysproporcji w sferze wydobycia surowców z czasem przygotuje następny podwyżkę cen mięsa i całej reszty. Nie rozumiecie w jaki sposób? A szkoda. Pora nauczyć się to rozumieć, w przeciwnym razie, kiedy będą rosły ceny transportu, paliwa, energii elektrycznej (...) będziemy myśleli, że dzieje się to gdzieś daleko, w jakiejś abstrakcyjnej „gospodarce narodowej”, że nas uderzy to po kieszeni dopiero wtedy, kiedy raz w roku wybierzemy się nad Czarne Morze (transport), zechcemy naprawić dach domu letniskowego (materiały budowlane), lub poprosimy przyjaciela, by podzielił nas swoim „Ziguli” na lotnisko (paliwo).

ZACZĘLIŚMY ŻYCIE NAD MIARĘ DOBRZE

Stwierdzając, że niektórzy dziennikarze, pisarze i socjologowie niepokoją się, czy „znaczący wzrost dobrobytu ludności” nie rozchwiałe przypadkiem „podstaw moralnych” społeczeństwa, Andriej Nujkin kontynuuje: „Wygląda na to, że nie dorosłem do tak państwowotwórczej troski, gdyż mnie, nie wiem czemu, nurtuje coś zupełnie innego. Na przykład: w jaki sposób ludziom udaje się zwinąć koniec z końcem? (...) 1 stycznia 1987 roku stwierdzamy z dumą, że wysokość zasiłków dla inwalidów od urodzenia, którzy nie osiągnęli 16 roku życia, wzrosła o całe 50 proc. Ale sobie wreszcie pożyła za to swoje 30 rubli miesięcznie!

Albo rodziny wielodzietne. Demografowie usiłują nam dyktantem tłumaczyć, że w naszych czasach tym, co hamuje rozwój rodziny nie są czynniki materialne, lecz jakies bardziej subtelne, mistyczne. I na potwierdzenie przytaczają przykłady „małodziśnych” ojców i matek — proszę, dano im mieszkanie, podniesiono zarobki, a oni mimo to nie rozmnażają się. Dlaczego nie chcą rodzić „małodziśnych” jest oczywiście sprawa ciekawa, ale nie zaskakująca. Gdyby demografowie zaczęli się dziwić, dlaczego właściwie rodzą „wielodziśnych”? A przede wszystkim, jak wiać za koniec z końcem? Oto kilka liczb z listy Tatiany Kisielowej (obwód nowosybirski). Ma pięcioro dzieci. Jako inżynier jej mąż zarabiał 180 rubli. „Przed rokiem zatrudnił się jako robotnik i zarabiał 260 rubli. A ja na utrzymanie, we dług obecnych cen, potrzebuję miesięcznie 528 rubli. Jeżeli uwzględni się ponad

to, że dzieci rosną, a rzeczy dla dzieci nie tanieją, to jeszcze więcej (...). — Przecież mamy cały system pomocy dla rodzin wielodzietnych! — powiedzą ekonomiści. „Dopóki nie miałam tylu dzieci — odpowiada T. Kisielowa — szczerze w to wierzyłam. Ale... Przychodzi na świat piąte dziecko. Siedzę w domu przez rok, dostaję 50 rubli miesięcznie i potem jeszcze pół roku, nie dostając nic, żyjemy tylko z pensji męża. Z pięć ciorgiem dzieci!”

Po przytoczeniu kilku podobnych przykładów Nujkin pisze: „I oto na tle takiego dobrobytu z uporem maniaka do wodzono nam, że żyje się nam za dobrze i dlatego wciąż trzeba podnosić ceny. Zanim zaczęła się era jawności, zgod nie potakiwaliśmy. Ale czasy się zmieniły. Mówić nam teraz, że żyjemy za dobrze, na pewno nie udaloby się nawet pod naroką. Urzędnicy oczywiście to zrozumieją. Przynajmniej starają się bardzo pomyślnie uzasadniać konieczność podniesienia cen (...).

PODWYŻKA CEN NAIKROTSZA DROGA DO OBFITOSCI

Autor omawia artykuł przewodniczącego Państwowego Komitetu Cen. W. Pawłowa, jaki ukazał się w dzienniku TRUD pt. „Dlaczego reforma cen jest konieczna?” W. Pawłow — pisze — swobodnie operując liczbami i faktami, obala pogląd jakoby „za czasów Stalina było lepiej” — ceny obniżano z roku na rok”. Pawłow dowodzi, że w okresie 1928-1940 r. ceny detaliczne wzrosły w Związku Radzieckim 6,2 raza, a w roku 1947 — 3-krotnie: zarobki natomiast zwiększyły się od 33 rubli miesięcznie w 1940 roku, do 48 rubli w roku 1946. „Ceny obniżano wyniszczając chłopów. Pszenicę np. kupowano od kolechodników po kopiejce za kilogram, a kilo maki sprzedawano za 31 kopiejek. Wołowi nie kupowano na wsi po 23 kopiejki za kilogram a sprzedawano średnio po 1,5 rubla itp.

Dziś — relacjonuje autor opinii Pawłowa — też nie ma się specjalnie z czego cieszyć. 50 proc. środków budżetowych uzyskiwanych z podatku obrotowego przeznaczano się na dotowanie cen żywności. Razem daje to 57 mil rubli rocznie. Dużego tak żyć nie można.

„Reforma” to słowo pociągające. Bez radykalnej reformy w gospodarce nie zdołamy się utrzymać nawet na obecnym poziomie naszej przynależącej niegospodarności. Wszyscy jesteśmy za reformą ale... oderwana od reszty brzmienia? I jaka może być ta mglista, obiecana nam „ogólnonarodowa dyskusja” nad reformą cen, skoro zanim jeszcze gracze wyszli na boisko wiadomo, do której bramki i ile piłek się strzeli? Autor stwierdza, że reforma cen ograniczająca się do ich podwyżki, zaczęła się w ZSRR już przed wielu laty i wymienia w tym kontekście m.in. 4,5-krotny wzrost cen kawy (co miało przynieść, ale nie przyniosło, wzrost konkurencyjności gruzińskiej herbaty). „W hutnictwie żelaza, by pokryć zwiększone nakłady na produkcję, trzeba było przed 3 laty podnieść ceny o 7,5 mil rubli. Siedem ósmym tej sumy nie pozostawało w żadnej zależności od wzrostu cen paliwa i energii, winna była wyłącznie niesłuszną polityką ministerstwa hutnictwa żelaza. Metal więc podrożał. Cóż począć? W konsekwencji trzeba było o kilka miliardów rubli podnieść również „ceny wyrobów wielu gałęzi przemysłu maszynowego (...). Produkcja przemysłu maszynowego w wyrażeniu niegimnym wzrosła w ciągu 10 lat 2,6 raza, a w fizycznym — o 45-50 proc. A przecież wzrost produkcji liczy się u nas w rublach. Proszę sobie wyobrazić, ile chwały i orderów podarowali w ten sposób pracownikom przemysłu maszynowego ich koledzy hutnicy tylko dlatego, że są analfabetami w zakresie po lityki technicznej? Ale tylko ich nie to nie kosztowało — my za wszystkie te prezenty zapłaciliśmy ze swoich nie zmieniających się zarobków (...).

W okresie 1970-1985 r. średnia cena samochodu osobowego wzrosła 2 razy, autoserwisu — o 60 proc., od 1979 r. 4 razy podnoszono detaliczne ceny benzyny. Podrożały usługi pocztowe, opłata za założenie telefonu z 20 rubli podskoczyła do 100. Od 1 lipca 1987 r. miejsca w hotelu podrożały o 20-25 proc. W ciągu 10 lat wielokrotnie wzrosły opłaty za korzystanie z automatycznych skrzynek w przechowywaniu bagażu. Ceny książek stale rosną, materiałów budowlanych również, opłaty za transport też. Tanie towary (dla dzieci, perfumy, ryby itp.), znikają z produkcji. Niektórych z nas już nawet nie stać na porządki, jak podliczyć czytelnicy, do 1.500 rubli). Lista podwyżek nie ma końca. Gdyby rzeczywiście było tak, że wzrost cen prowadzi do uzdrowie-

nia ekonomii, to nasza gospodarka już dawno powinna byłaby odrzucić aparat tlenowy i startować w biegach (...).

W IMIĘ UZDROWIENIA, CZY ZAMIAST NIEGO?

W dalszej części artykułu A. Nujkin podkreśla, że coraz bardziej staje się oczywiste, iż podwyżka cen jest korzystna nie tylko dla zainteresowanych resor-tów, a nie dla państwa. Na konkretnych

przykładach wykazuje on, że częstokroć „interes resortowy” sprowadza się do tego, „by pracować gorzej i pobierać większe opłaty”.

Obiema rękoma podpisujemy się pod „reformą cen”. Rzeczywiście jest ona konieczna i nieunikniona. Jednakże kapitalna i zbawienna dla gospodarki reforma (nie zaś pospolita podwyżka) może się ona stać — jedynie w toku energicznego rozwiązywania jeszcze innych ważniejszych zadań społeczno-politycznych i społeczno-gospodarczych. Jedynie wówczas! „Normalne ceny” mogą być tylko wynikiem uzdrowienia, objawem zdrowia. Jest to sprawa elementarna, tej prostej prawdy nie chcą jednak w żaden sposób zrozumieć niektórzy „reformatorzy” (...). Wpierw podnieśmy ceny do poziomu rzeczywistych kosztów, a potem zaczniemy je uzdrawiać — obiecuje.

JAKIE WIĘC JEST WYJŚCIE?

Zdaniem Nujkina, trudność polega na tym, że z jednej strony sytuacja wymaga niezawodnych i zdecydowanych środków, z drugiej zaś żadne pojedyncze „środki” nie są w stanie rzeczywiście wpłynąć na rozwiązanie problemu cen, „co więcej, takie specjalne „środki”, na wet jeżeli stosuje się je w najlepszych zamiarach, mogą tylko sytuację pogorszyć”. Autor nawiązuje w tym kontekście do artykułu E. Samigullina „Czy o to się spieramy?” (Socjalistyczna In-dustria z 25.02.88), zgadzając się z wię-

kazością zawartych w nim poglądów. Je-go sprzeciw budzi natomiast propozycja Samigullina, by „zamiast podnosić ceny zahamować wzrost płac, z wyjątkiem za robków nisko uposażonych grup pracowniczych”. A to w celu „umocnienia kursu rubla i doprowadzenia do zaspokojenia ludności na towary i usługi”.

Innymi słowy — pisze Nujkin — znów podział, już nie na takich, którzy robią dużo i dobrze i takich, którzy robią mało i źle, lecz na nisko i wysoko uposażonych, z wynikającą z tej klasyfikacji strategią pod hasłem społecznej demagogii (przepraszam, „sprawiedliwości”). Wydawało się, że w toku naszych sporów już odkryliśmy, iż właśnie te „pulapy”, „urawniłowki” czy się stoi, czy się leży „stoją na przeszkodzie temu, by w kraju znacznie wzrosła zarówno ilość potrzebnych towarów i usług, jak też ich jakość. A przecież wysoki kurs rubla zapewnia się nie przez wpro-wadzenie do obrotu określonej ilości pieniędzy: wysokość kursu zależy od tego, czy każdy rubel (niezależnie od tego, ile ich jest w obrocie) ma pokrycie w potrzebnych towarach (dobrej jakości) i usługach (nie tylko materialnych, oczywiście). Czy musimy więc się obawiać nadmiernie wysokich zarobków, skoro mówimy o niezliczonych „gorliw-cach” dbających o zdrowie naszej gospodarki i nie pozwalających pracować tym, którzy mogą i chcą wyprodukować dla kraju o wiele więcej towarów, niż produkują obecnie?”

W końcowej części artykułu Andriej Nujkin pisze: „Obiecana nam przez ekonomiistów i pracowników Państwowego Komitetu Cen reforma moim zdaniem nie może stworzyć realnej struktury cen, gdyż w toku tej reformy ceny nadal zamierzają się dekretować odgórnie, bez jednoczesnego zwiększenia wolnej konkurencji między przedsiębiorstwami (tymi, które produkują i tymi, które handluje) i bez walki tych „przedsiębiorstw” o klienta: nie może też doprowadzić do osiągnięcia przez przedsiębiorstwa rzeczywistej samodzielności finansowej, ustalając ceny za biurka — według „realnych nakładów”. Nie jest chyba przypadkiem, że nawet nasi czołowi ekonomiści, teraz u progu ogromnie odpowiedzialnych decyzji w dziedzinie kształtowania cen, z zadziwiającą zgodnością „mylą” rzeczywiste nakłady z kosztami społecznie niezbędnymi (...). To, co może być jedynie wynikiem generalnego uzdrowienia gospodarki, objawem jej zdrowia, uznają za środek prowadzący do jej uzdrowienia. W praktyce znaczy to, że proponują nam, byśmy się bez tego uzdrowienia obejrzeli”.

O okolicznościach śmierci żony Stalina

O jej samobójstwie mówił w wywiadzie dla gazety „Moskowskiej Komsomo-lca” znany radziecki dramaturg, jeden z czołowych orędowników „pierestrojki” Michaił Szatrow.

Szatrow stwierdził, że Nadieżda Allilujewa popełniła samobójstwo w grudniu 1932 roku, tj. w okresie, gdy w kraju panował głód, wywołany suszą oraz niepokojami związanymi z kolektywizacją. Agencje przypominają, że pierwsza żona Stalina, Jekatierina Swanidze zmarła w 1905 roku, zaś Allilujewę poślubił on w rok po zwycięstwie rewolucji. Szatrow powiedział dosłownie: „Niewie-le wiem o stosunku Stalina do kobiet. Ale wiem o samobójstwie jego żony i wiem, że zawsze był grubiański”.

Wersja nieoficjalna — a powtarzają ją zachodni historycy — głosi, że Allilujewa zastrzeliła się w apartamencie na Kremlu, gdzie mieszkała z mężem. Stało się to po sprzeczce ze Stalinem, który obrzucił żonę wyzwiskami w obecności swych kolegów z Biura Politycznego. Allilujewa miała wówczas protestować przeciwko czystkom w partii oraz polityce wobec wsi.

Nikita Chruszczow w opublikowanych na Zachodzie pamiętnikach wspomina

o pogłosce, jakoby sam Stalin zabił żonę, ale przychylił się do wersji o samobójstwie. Syn Stalina z pierwszego małżeństwa, Jakow, zmarł jako jeniec w czasie II wojny światowej, natomiast Wasilij, syn Allilujewej, umarł w 1962 roku w wyniku choroby alkoholowej. Jego rodzona siostra, Swietłana przyjęła nazwisko matki, a w 1967 roku wyjechała do USA, skąd przyniosła się do Wielkiej Brytanii. „Rozczarowana Zachodem” wróciła do ojczyzny jesienią 1984 roku, ale już po dojściu do władzy Gorbaczowa powróciła do Anglii.

Wywiad ujawnia osobiste zainteresowanie Szatrowa wyjaśnieniem wszystkiego, co związane jest ze Stalinem. Wynika ono z tego, że ojciec pisarza rozstrzelano w 1937 r. zaś matka zaginęła po aresztowaniu w 12 lat później. Ciotka Szatrowa była telefonistką Lenina. Wódz rewolucji poznał ją z jej przyszłym mężem, Aleksiejem Rykowem, który po śmierci swego mentora zastąpił go na stanowisku premiera: w 1938 roku został rozstrzelany jako spiskowiec, a niedawno — zrehabilitowany. Z bliskich Szatrowa, jedynie jego brat przeżył okres stalinowski.



Rys.: K. Jantiszow — „Literaturnaja Gazeta”

Cztery stare kobiety siedzą nieruchomo na krzesłach przy swoich łóżkach. Nie śpią już dwie noce. Modlą się. Czuwają. Na łóżku, niemal zagubiona w fałdach poduszki i koldry, widoczna jest część twarzy pitej; bezzębne usta, przymknięte powieki, skóra na twarzy niemal gładka; prawie tak wygląda człowiek na początku życia, tak też na jego końcu.

Kobiety od lat mieszkające razem w jednym pokoju, teraz od kilku dni i nocy czekają na śmierć jednej z nich.

Zagadka Słaska: „Jaka to istota: po siada tylko jeden głos, ma czasami dwie nogi, czasami trzy, czasami cztery, naj słabsza zaś jest wtedy, gdy ma najwięcej nóg?” Tę zagadkę rozwiązał Edyp: „Jest to człowiek, ponieważ łączy na czworakach, gdy jest niemowlęciem, stoi prosto na dwóch nogach w młodości i podciera się łaską na starość”.

Początkowo siostra Urszula nie jest zbyt zadowolona z wizyty dziennikarza. Tłumaczy się nawalaniem zajęć, potrzebą zgody przełożonej, siostry Terezy. Jednak pierwsze łody pękają tak szybko, że sam jestem zdziwiony tą zmianą nastawienia. Mogę zobaczyć wszystko od piwnicy po ostatnie piętro domu. Ta wędrówka okazuje się być jedną z najdłuższych i najcięższych w mojej pracy dziennikarskiej.

Budynek powstał z inicjatywy i funduszy Adeli Gajewskiej. Od 1855 roku pełnił rolę domu sierot. Stoi kilkadziesiąt metrów od centrum Wolsztyna w towarzystwie kościółka i wysoki, wiekowych drzew. Od 1964 roku dom zmienia swoją funkcję, nazywa się Domem Opieki dla Dorosłych „Caritas”. Jego pensjonariuszkami stają się stare, zmęczone życiem i chorobami kobiety.

Dla człowieka w moim wieku wędrówka po tym Domu ma w sobie coś z metafory. Przewodniczka, siostra Urszula, nie skąpi szczegółów podobna do przewodniczki Dantego, otwiera przede mną kolejne pokoje.

Przybywszy uderza niemal sterylna czystość panująca w Domu. Na ścianach nowe tapety, w łazienkach błyszcząca glazura. Mam wrażenie, że wczoraj ukończono kapitalny remont. Siostra Urszula wyprowadza mnie z błędu; remont odbył się trzy lata temu. Ściany zdobia wspomniane fotografie z misji w Indiach i Afryce. W Domu panuje wszechpłynna cisza. Zwiędzamy pierwszy z trzech oddziałów. Niemal w każdym pokoju podobna sytuacja: cztery, pięć kobiet siedzi bez ruchu z twarzami zwróconymi w kierunku okna. Niektóre nie reagują na nasze wejście; nie słyszą. Jeśli głośno zadać pytanie pani Ratajczakowej, to uśmiechnie się ona dobitnie i odpowie, że jest jej tu

dobrze i że wszystkie kobiety w pokoju bardzo się lubią. Pani Misiewicz przybyła tutaj z siostrą, siostra umierała pół roku temu, pani Misiewicz bardzo często płacze. W tym samym pokoju mieszka pani Głowacka, która przeżywa w Domu już 26 lat; jest pani Ela, była szwaczka, przyjechała tu w 1962 roku i została, gdy czuje się nieco lepiej ro bi szydełkiem wzorzyste serwetki, to zajęcie pozwala przemijać dniom, których nie sposób już liczyć. Ponadto dziewięćdziesięcioletnia pani Kłosowska jest znaną w Domu kawoszką, już samo słowo „kawa” wywołuje uśmiech na pomarszczonej twarzy. Uśmiech starych kobiet jest tu najczęstszą reakcją na powitanie, na zadane pytanie, na delikatne dotknięcie ręki siostry Urszuli. W tych staruszkach nie ma nic z walecznej determinacji rencistów znanych z kolejek po kawałek mięsa czy paczkę kawy. Tutaj zanika instynkt walki o przetrwanie. Jego szczątkowa forma jest chomikowanie w szafkach żywności; „chomikujące” kobiety dobrze znają się na personelowi; podczas cotygodniowej „gruntówki” siostry bezbłędnie trafiają do podręcznych magazynów psujących się żywności; Dom ma swoje prawa, ale i natura broni swoich wiekowych nawyków.

Po pewnym czasie zauważam, że podąża za nami jedna z pensjonariuszek. Nieco różni się od pozostałych, jest jakby bardziej energiczna, ubrana w spodnie, na spojrzenie odpowiada serdecznym uśmiechem. — To nasza Klachcia



li, pragnie żeby wszyscy ludzie byli dla siebie dobrzy i słuchali wiadomości z Watykanu. Wychodzimy z pokoju zegnani potokiem powtarzających się zdań.

Pani Bułkiewicz spada ze schodów. Nie może chodzić. Siostry utworzyły jej z fotela i krzeseł specjalny zestaw do

występy, a już w całym Domu jest wielkie poruszenie.

— Siostry tu o nas bardzo dbają — mówi pani Bułkiewicz — pamiętają o każdym święcie. Fajujemy wszystko: Dzień Kobiet, Dzień Babci, Dzień Dziecka i Dzień Matki... Dostajemy bardzo smaczne jedzenie.

— Marylka jest bardzo dzielna i zawsze w dobrym humorze — komplementuje siostra.

— Nie zawsze, siostry — protestuje Marylka — czasem jest tak ciężko, że trudno o dobry humor. Ale staram się, trzeba cały czas mieć zajęcie, wtedy jest lżej.

— A tu leży pani Sidorowicz — siostra wskazuje przykrytą koldrą po czubek nosa kobietę. — Pani Sidorowicz popłakuje nam, niedawno zmarł jej mąż. Rzeczywiście, jak na zawołanie po policzkach kobiety ściekają łzy. — Nie trzeba już, nie trzeba — siostra gładzi kobietę po siwych włosach, pani Sidorowicz leży bez ruchu a z nieruchomych oczu cieką dwie strużki.

W całym Domu jest tylko jeden taki pokój, którego pensjonariuszka z nikim nie dzieli. Bardzo stara kobieta o wystraszonych przez czas rysach twarzy śpi pod poskrecaną koldrą. Koldra nie zasłania nóg, które są obnażone aż do kolan; zniszczone stopy wyglądają jakby całe życie deptały po ściernisku. Na podłodze leżą podarte na drobne kawałki papierki; to też ewenement w tym budynku. Pod ścianą stoł zdezolowane wiekowe pianino; mieszkanka pokoju w chwilach orpyliwu sił grywa na nim zapomniane utwory. Czy ta gra wywołuje u kobiet mamroczenie? W tej chwili jakieś niezrozumiałe zdania wspomnienia z lepszych lat jej życia? To wie tylko ona sama.

Tu wszyscy się zrównali. Córka chłopca i córka lekarza mieszkają w jednym pokoju, a nasza hrabina — siostra Joanna wskazuje na leżącą w pokoju z pianinem kobietę — tylko dlatego mieszka sama, bo nikt by z nią nie wytrzymał. W czasie wojny widziała, jak palił się pałac jej rodziców i od tego momentu już nie jest całkiem normalna. Pałac hrabostwa Mycielskich stał niedaleko stąd. — Dla kobiety leżącej w skłębionej pościeli te kilkadziesiąt metrów od pałacu do domu opieki społecznej to wędrówka niemal przez całą epokę; i bez powrotu. Hrabina nie zauważyła chyba naszego wejścia, pozostała z zamkniętymi oczyma poruszając bezzębny ustami.

Wchodzimy na trzecie piętro. Pokoje, tu większe zamieszkuje je więcej kobiet. Niemal wszystkie siedzą wyćzekując przy swoich łóżkach. Dzień się kończy. Obiad był już dawno, za godzinę będzie kolacja. Po kolacji nastanie długa noc. Niektóre kobiety żartują na temat ilości choiów, jakie toczą ich organizmy. W innym pokoju-sali opowiadają jak niedawno potańczyły sobie i piospiewały z okazji imienin siostry Heleny. Poznaję panią Helenkę, która z własnej woli przyjęła na siebie obowiązek zamykania podwórka; skarży się, że ona sprząta, a wiatr nawiewa z powrotem zeschnięte liście i śmieci.

W pokoju obok cztery kobiety modlą się i czuwają. Tutaj nie izoluje się konnających od jeszcze żywych, tutaj nikt nie musi mówić „memento mori”.

* * *

Dom opieki społecznej w Wolsztynie zatrudnia 21 salowych i 4 pielęgniarki. Ogółem pracują w nim 42 osoby. Obecnie przebywa tu około 80 kobiet. Kierowane są przez Urząd Wojewódzki na wniosek rodzin i samych zainteresowanych. Odpłatność za pobyt w Domu wynosi 75 procent renty z zastrzeżeniem, że nie może być wyższa niż 13,5 tys. oraz, że pensjonariuszka winno pozostać z renty 6,5 tys. na bieżące wydatki. Dom otrzymuje dotacje z Ministerstwa Zdrowia.

PIOTR PIOTROWSKI

Czuwanie w domu kobiet

Piotr Piotrowski

— informuje siostra Urszula. — Klachcia, chodź tu do nas. — Kobieta z radością zbliża się do mojej przewodniczki. — Klachcia bardzo kocha psy. Lubi załatwiać różne drobne sprawy w mieście, a szczególnie zaopatrywać nas w gazety. Zna ją wszyscy milicjanci w Wolsztynie, bo bardzo lubi rozmawiać z milicjantami. — Klachcia z ufnością przytula się do pierś siostry. Głaskanie po włosach sprawia jej wyraźną przyjemność.

— Teraz odwiedzimy Babuszkę. Proszę uważać — ostrzega siostra — jeśli da się pan zagadać, to nie wyjdziemy do wieczora.

Babuszka rzeczywiście nie dopuszcza nas do słowa. Kiedyś pracowała w szpitalu, otrzymała nawet odznaczenie za wieloletnią pracę. Teraz wysłuchuje wiadomości z Watykanu, dużo się mod-

wygodnego siedzenia z chorą nogą. Mimo cierpienia nie opuszcza jej pogoda ducha. Ona pierwsza dostaje wszystkie gazety kupowane do Domu, uwielbia szczególnie te kolorowe. — Trzeba wiedzieć, co się dzieje na świecie. Bardzo lubimy Teleexpress i koncert życzeń w telewizji. Pani Karpowicz, była nauczycielka języka polskiego, też lubi Teleexpress. Ten program cieszy się w wizory są w wielu pokojach, odbiornik jest także w świetlicy z wygodnymi fotelami. Filmy nie cieszą się tu zbyt dużą popularnością; kobiety nie są w stanie skoncentrować się na całym czasie trwania projekcji. Przeważnie oglądają tylko początek filmu, później kładą się spać lub chodzą po pokoju. Za to żadna z kobiet, która może chodzić do Domu największą popularnością. Tele-dziś i nie jest chora, nie opuści imprezy organizowanej w świetlicy. Wystarczy tylko, że siostra ogłosi przez radiowęzeł, że w świetlicy odebada się

— A pani Bułkiewicz to chyba najbardziej łody smakują? — podpytuje siostra Urszula.

— Oj, ja lodów nie mogę. Zoiadek chory. Ale pepsi-cola jest dobra. Dzisiaj jeszcze miałam, wypilał sobie, ale najpierw podgrzałam.

— Wygodnie teraz pani Bułkiewicz na tym fotelu?

— Tamten stary był wygodniejszy.

— Ale już się nie nadawał, trzeba było wyrzucić. A jak ten się rozleci, to się powie, że ten był najwygodniejszy.

— Oj tak, tak będzie — śmieje się pani Bułkiewicz.

Następne piętro, następny krag dantejskich wizji. Po korytarzu biega zaferowana siostra Joanna: — Ciężki dzień dzisiaj! Mam jedną konającą i jeszcze z Clotą kłopoty.

Idziemy do pokoju, w którym leży Clota. Kobieta niedowidzi i nie słyszy. Kiedyś była nauczycielką języka francuskiego — Sładź siostry — mówi cicho i ledwo zrozumiale. Siostra przysiadła na krawędzi łóżka — Co Clotiu, były kłopoty? Zmienialiśmy pieluszkę?

— Tak, kłopoty. Chora jestem, bardzo chora. Niech siostra jeszcze posiedzi.

— Wczoraj już siedziałam u Cloty, a Clota wie, ile mam zajęć i pozostałe też chcą, żeby z nimi porozmawiać. — Siostra Urszula mówi głośno bezpośrednio do ucha chorej, niektóre zdania musi powtarzać.

W następnym pokoju trzy lokatorki śpią i nie reagują nawet na nasze wejście. — Zmęczone są po obiedzie — ko mentuje siostra Joanna — one mówią, że rano śpią, bo były na nocnym dyżurze, a po obiedzie, bo się napracowały.

Pani Kukuć należy do „leżących”. Tutaj kobiety dzieli się na „leżące” i „chodzące”. „Chodzące” wcześniej lub później przystępują do grupy „leżących”. Pani Kukuć ma luźko zautomatyzowane; po naciśnięciu guzika łóżko zamienia się w fotel, kobieta potrafi sama poprawić sobie poduszki, choć w tak niewielkim stopniu może być samodzielna. Pani Ceglarska też od pewnego czasu jest „leżącą”. — Ja tu już czekam tylko na śmierć — mówi z pewnym dystansem, jakby nie o sobie i jakby mogła powiedzieć znacznie więcej, ale uważała, że nie warto mówić cokolwiek. — Starość, skleroza, pan wie, co to jest...? Przepraszam, może obrazłam...

Morze burzliwe

Wiatr targa korony drzew
po korzenie
trzeszczy w więzaniach
domów
przegania ptaki
Z wściekłością rzuca się
na falochrony
i w płaski wydm
jakby chciał wraz z wodą
rozmyć ląd i uniść
Uciekamy na zawiętrną
do przytulnych pokoi
W ustach czujemy gorzcy
smak soli wdiera się
do słów między nami
Nie ma ucieczki
wokolo
wszechobecne morze

Morze wieczorne

Było łagodne
w zachodzącym słońcu
szedłem brzegiem
wśród meżus muszli
wodorostów
Próbowałem leczyć męczy
na wodzie ziemi
i w powietrzu
Wtedy spotkałem
twoją dłoń
Zawiodłaś mnie na wyspę
która odłą
nie jest samotna
Uratowała mnie przypliw
wieczornego morza

Wiersze z tomiku zatytułowanego „Idę”, który ukaze się wkrótce na półkach księgarskich nakładem KAW.

Morze codzienne

Dookolne morze
codziennych spraw
ruchliwe
niezmierzone
oswaja ze sobą
kropla po kropli
Kiedy jeden z nas
wypada za burzę
rzucający koła
ratunkowe słów
opuszczamy pospiesznie
szalupy sumień
I nim się spostrzeżemy
będziemy pogodzeni
z bezgraniczną
zachłannością
upartych fal
My żeglarze codzienni
zaplątani w sieci
bezmiaru wód
Przystajemy na chwilę
w oku ryby
nad dnem osobliwym
z gwiazdą
bursztynu pamięci



RYS. ROMANA KASZCZĄC

O czym marzy dziewczyna?

— Chcę porozmawiać z Tobą o seksie.

— Dlaczego ze mną?

— Bo wyglądasz seksownie.

— Nic pani o mnie nie wie.

— Więc mi opowiedz.

— Jeśli o gazety, to bez imienia. I niech pani nie nagrywa.

— Czym się zajmujesz?

— Chodzę do zawodówki. Teraz waka-cje.

— Ile masz lat?

— Skończyłam 17. Nie wyglądam na małą, co?

— Jesteś ładnie zbudowana.

— Po mamie. Moja siostra ma 16, a wyglądam na 20. Takie już jesteśmy.

— Jak się uczysz?

— Miało być o seksie.

— Zdaniem Twoim co to jest seks?

— No, seks to jest... Mówi się — mieć seks. Mówi się też — uprawiać seks. Mam książkę „Seks partnerski”

— Co to znaczy — uprawiać seks?

— Pani żartuje.

— Uprawiasz go?

— Ale pani śmieszna.

— Kochałaś się z mężczyzną?

— No pewnie.

— Jak to było?

— Kiedy?

— Gdy z nim spałaś.

— Z kim?

— Z tym mężczyzną.

— Z którym?

— Więc miałaś kilku?

— Jeżeli pani ciekawa, to miałam 19 razy. Pierwszy raz 6 marca 1988 roku. Ostatni w niedzielę 26 czerwca 1988 roku. Zapisuję sobie w kalendarzyku.

— Z kim był ten pierwszy raz?

— Z takim jednym. Nieważne. Chodziłam z nim dwa miesiące. Ożenił się, ma dwoje dzieci i wygląda teraz tak, że ja normalnie stukam się w łeb. Ze też ktoś taki mógł mi się podobać.

— Jaki?

— Włosy tylko w tyle, z przodu nic. Brzech. Kurtka z ortolionu. Jakies prze-grane sandały. Stary dziadek.

— Więc podobają Ci się tylko bardzo młodzi?

— Różni mi się podobają. Ale każdy musi mieć „coś”.

— Co takiego?

— Przede wszystkim musi być ubrany. Z fasonem, modnie, czysto. Musi mieć trochę pieniędzy, żeby mógł impo-nować. Powinien też mieć samochód.

— Twoi rówieśnicy nie mają chyba pieniędzy i samochodów.

— Są tacy, co mają. Ale ja z rówieśnikami nie chodzę. Chodzę ze starszymi chłopakami. Mam bardzo fajnego chłopaka w wojsku, zapoznałam go i piszemy do siebie listy. Ale tak najbardziej, to mi się podobają starsi panowie.

— W jakim wieku?

— Po trzydziście. Elegancy, poważni. Tacy lubią patrzeć za młodymi.

— Opowiedz mi o swoich sprawach.

— Czasem się z kimś umawiam. Siedzimy w „Mocce” albo w „Topazie”. Do „Palomy” to ja raczej nie chodzę. Czasem idziemy na chatę. Parę razy byłam na dyskotekę w „Ostoli”, fajnie tam jest.

— Powiedziałaś, że kochałaś się 19 razy. Ale ilu chłopców masz zanotowane w kalendarzyku?

— Z tym pierwszym kochałam się trzy razy. Podobal mi się nawet i było mi z nim miło, dopóki nie zażądał, abym mu się oddała. Kiedy się to stało, ja się rozplakalam, a on zrobił się bardzo wystraszony. Potem poleciał do mojej matki i powiedział, że będzie się ze mną żenił. Matka wpadła we wściekłość i o mało co nie dostałam lania. Miałam dopiero 15 lat.

— Więc nie był przyjemny ten pierwszy raz.

— Był okropny.

— Żalowałaś, że się to stało?

— Ze dwa tygodnie nie wychodziłam z domu. Wtedy zdarzyło mi się coś...

— Opowiedz.

— Do mojej mamy przychodzi jeden facet, nawet nie najgorszy. Wykształcony. Przyszedł wtedy, gdy leżałam w łóżku. Mamy nie było. No i z nim... To znaczy nie nie było. On mnie tylko całował... Całował mnie, chociaż jeszcze krwawiłam...

— I co teraz z tym facetem?

— Nic. On mi się wcale nie podoba. Dalej chodzi z mamą.

— Czy zwierzałaś się komuś z tego?

— Tak, opowiedziałam mojej najlepszej koleżance. Ona dopiero teraz str-

ciła dziewictwo. I kocha się w tym swoim chłopaku, jak szalona. Rozumiem ją.

— Dlaczego?

— Bo to chłopak z fasonem. Umie do dziewczyny podejść.

— Co to znaczy — umie podejść?

— Sama nie wiem. Po prostu zaimpo-nować. Czasem ktoś powie „czuść” i już dziewczyna jest poderwana. A inny nawija godzinę i nic.

— To samo można odnieść do dziewczyn.

— No pewnie. Jedną godzinami siedzi przy stoliku i nic. A inna wejdzie, spojrzy i już kogoś ma.

— A ty?

— Ja nie narzekam. Nie mam trudności. Ja się podobam.

— Tych 19 razy, to według Ciebie dużo czy mało?

— Czy ja wiem? Mam jedną koleżankę, która już przestała liczyć. Ale znam parę takich, które jeszcze nie spały z chłopakiem.

— Więc ilu panów zapisałaś w kalendarzyku?

— Trzy razy było z tym pierwszym. Potem chodziłam z innym chłopakiem i mieliśmy ze sobą... raz, dwa, trzy... Sześć razy. Jeszcze z innym miałam dwa razy. Z czterema po jednym razie. W sumie było ich osiem.

— Co Cię w nich pociągało?

— Ładny zapach. Dezodorant, dobre papierosy, trochę alkoholu. To jest zapach, który lubię. Mężczyzna, który nie jest czysty, pachnący i dobrze ubrany, nigdy mnie nie pociąga. Nawet, gdy jest ładny i zgrabny. Nie powinien być otyły i łysy. A w żadnym wypadku brudny i spocony. Tak już nie dla mnie. Zwracam też uwagę na ręce i paznokcie. Oraz buty.

— Wyglądasz jak lalka z porcelany.

— Przyznaję się, że dużo czasu spędzam przed lustrem. Przywiązuję wielką wagę do wyglądu. Mama i siostra też. Kobieta powinna dbać o siebie. Miło jest popatrzeć na osobę czystą i zadbaną w ładnych ciuchach.

— Skąd bierzesz pieniądze na ciuchy i ozdoby?

— Mama mi daje. Czasem dostanę ja kieszonkowe od rodziny matki. Wszyscy jej współczują, że została sama.

— Gdzie kupiłaś taką bluzkę?

— Siostra mi ją uszyła. Fason ściągnęliśmy w komisie. Spódnice kupiłam na targu za 14 tysięcy. Buty w butik. Pa-sek okazjonalnie. A klipsy, korale, bransolety — pełno tego w sklepach, rzecz tylko w tym, żeby umieć wybrać.

— Czy wydawałaś kiedyś pieniądze, które sama zarobiłaś?

— Tak. Ja czasem zarabiam. Teraz właśnie w każdą sobotę pilnuję chorego w jednym domu. Już trzy soboty przesiedziałam. Płacą mi 3 tysiące za dzień. Jeszcze jeden raz i koniec z tym.

— Porzucasz to zajęcie?

— Tamci ludzie gdzieś się uczą, czy studiują, wszystkie soboty mieli zajęte. Teraz są na miejscu i mogą sami babcie pilnować. Rozglądam się za pracą.

— Na parkingu przy Westerplatte widziałam ogłoszenie o pracy przy truskawkach.

— W życiu! Za żadne pieniądze!

— A co chciałabyś robić?

— Chciałabym się załapać do... parzenia kawy. Stawiam na tacy szklanki, cukier, czystą popielniczkę, mały wazonik z różą i wchodzę powoli do gabinetu dyrektora. Wyglądam skromnie: bluzeczka zapięta, mini, lakierki, na rajstopach haft z perełką. Wszyscy patrzą, a ja usmiecham się i ostrożnie stawiam szklanki na stole.

— Kim chciałabyś być w przyszłości?

— Właśnie sekretarką dyrektora. Albo modelką. Nawet lepiej — modelką.

— Tymczasem jednak kończysz zawód kłódkę.

— I pójdę pracować w sklepie. Trudno. Sprzedawczynią zostanę tylko wtedy na stałe, gdy sklep będzie czysty i elegancki. Za żadne skarby nie poszłabym rąbać mięsa. Ani pilnować bułek w SAM-ie. Jeśli już, to galeria, kosme-tyki albo cukierki w „Gopianie”. Mam jednak inne plany.

— Mianowicie?

— W przyszłym roku zgłoszę się do konkursu Miss Polonia.

— Zycze Ci, żebyś wygrała. A na razie co?

— Nio. Siedzę tu codziennie, spaceruję, spotykam się z kimś. To wszystko nie jest ważne. Nawet seks też nie jest ważny. Czekałam. Może coś się zdarzy?...

Rozmawiała EWA FOSS

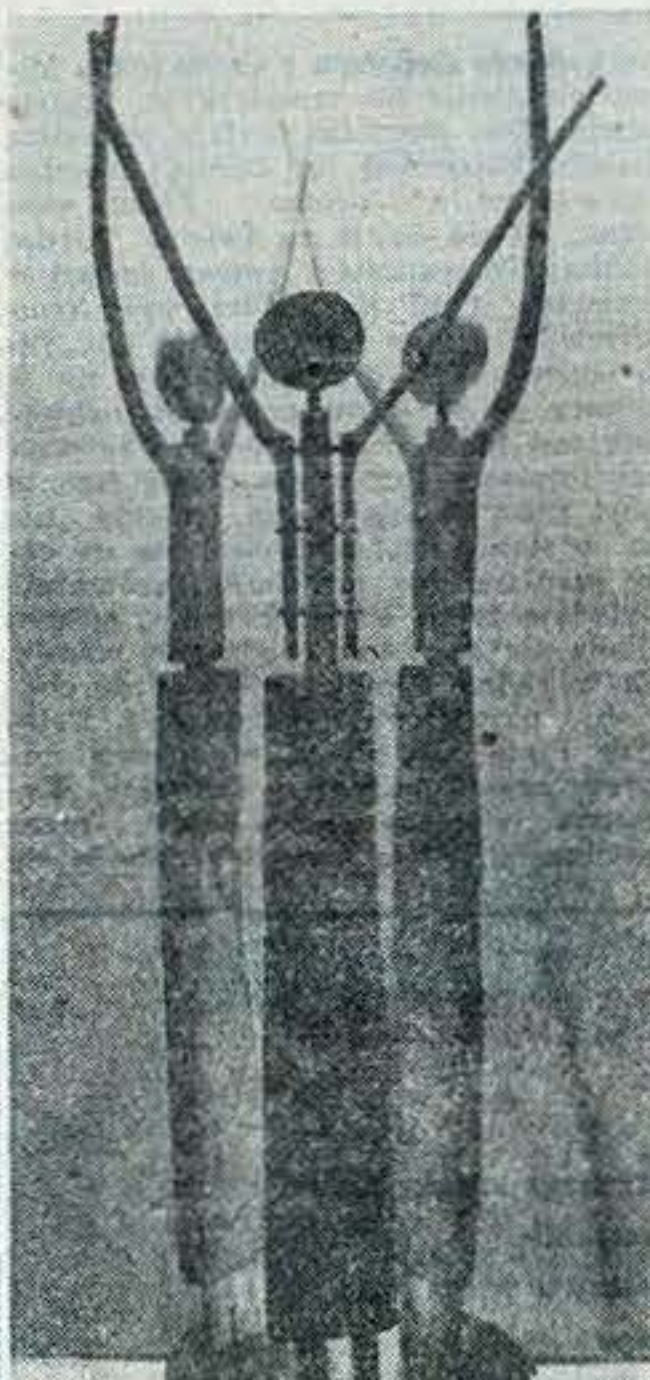
Ciąg dalszy ze str. 1

można, potwierdził to Eugeniusz Jakubaszek z Muzeum. Zostałem, choć przez pierwsze lata chciało mi się stąd uciekać.

— Dlaczego, przecież te trzy nagrody w roku 1969 coś zapowiadały, gwarantowały.

— Owszem, dostałem wtedy aż 17 tysięcy złotych. Tak mnie to oszołomiło, że skorzystałem z rady Sobiesława Piontka z KW PZPR i wzięłem pożyczkę na budowę domu. Później już bym nie był w stanie się wybudować i pewnie do dziś nie miałbym pracowni i klatki dla rodziny. Byłem zajęty pracą, budową domu, rodziną, nie miałem czasu na działalność społeczną. Może dlatego nie przyjmowano moich prac na niektóre z zielonogórskich wystaw, nie zapraszano na tutejsze plenery.

ŻYCIE W KAMIENIU I DREWNI



„Tańczące”

Fot. Archiwum



Fot. CZESŁAW LUNIEWICZ

— W parku w Ciechocinku jest pańska rzeźba, o której każdy kuracjusz wie, że to jest paw.

— Byłem tam na plenerze, pokazali nam Ciechocinek, potem przywieźli całą stertę kamiennych głazów. Zauważyłem, że po Ciechocinku chodzą sobie najzwyczajniej na wolności pawie. Zrobiłem pawia w granicie. Ptak to coś lekkiego, zaś granit jest materiałem ciężkim. Jedno niby kłóci się z drugim. Ale przeskoczyłem tę sprzeczność, rzeźba się spodobała i stoi do dziś w parku w Ciechocinku.

— W Zielonej Górze stoj kilka rzeźb plenerowych, ale nie ma wśród nich pańskich.

— Tak to jakoś wypadło. Na Spotkanie Rzeźbiarskie nie dostawałem zaproszeń. Zobaczył kiedyś moje rzeźby dyrektor Muzeum Jan Muszyński i pięć kupił Muszyński, to po Sobiesławie Piontku drugi człowiek, który ośmielił mnie do Zielonej Góry, choć z różnych powodów do Związku Polskich Artystów Rzeźbiarzy należą w Szczecinie.

— Rzeźby w Dziale Winiarskim w Muzeum Okręgowym są z drewna...

— Trudno nie robić w drewnie, jeśli stawiało się pierwsze kroki u Kenara, gdzie glina i gips uchodziły za materiał na zbyt łatwy w obróbkę.

— Pańskie rzeźby nie mają zwykle tytułów.

— A po co? Przecież rzeźba, to forma. Dopiero w odbiorze rodzi się potrzeba tytułu.

— Forma formą, jednak w pańskiej pracowni widzę zaklęte w drewnie i w kamieniu kobiety, dzieci — słowem: człowieka.

— Oczywiście, że człowieka — jako najważniejszą część natury, przyrody. No i to, co człowieka otacza.

— Nie boi się pan człowieka? Przecież ludzie wymyślili również zbrodnie, rasizm, kolonializm, wojny, obozy, bomby, które mogą zniszczyć wszystkich i wszystko.

— W każdym razie nie jestem katastrofistą. Robię właśnie rzeźbę — o, tu widać ją w połowie — gdzie wiele postaci leży powalonych przez jakiegoś zbrodniarza, czy też zbrodniczy system. Ale jedna postać przeżyła, stoi bezradnie i jakby pyta, co dalej? Wierzę w tę stojącą, ocalałą postać.

— Podzielać pański pesymistyczny optymizm dziękuję za rozmowę.

Zwykle artyści i organizatorzy zapraszają publiczność do sal wystawowych, do muzeów. Tym razem starczyło odwagi artyście, muzealnikiem i szefowi zielonogórskiej „Palmiarni”, żeby wyrazić zgodę na pokazanie filozoficznie zamysłonych rzeźb Józefa Cyganka na tle tropikalnej zieleni. Pomysł znakomity, albowiem: „szepczące figury” zielonogórskiego rzeźbiarza, są, będą robić w tej scenarii wrażenie, jak by zostały wykonane właśnie dla tego wnętrza. O otwarciu wystawy rzeźb Józefa Cyganka w zielonogórskiej „Palmiarni” — poinformujemy.

HENRYK ANKIEWICZ

PIES

Najlepszym przyjacielem pani A. jest Dino, foksterier bardzo żywy, z krótkim, sterczącym pionowo ogonem, biały w brązowe nubby kawa plamy. Pani A. troszczy się o swego przyjaciela, kąpie go przynajmniej raz w tygodniu, czesze starannie, karmi regularnie i nie byle czym. Codzieinnie, nim pani A. wypije poranną herbatkę, wyprowadza pieska do parku. Potem pani A. wychodzi do pracy, a Dino albo tęsknie czeka na nią w przedpokoju, albo spogląda z balkonu na dzieci bawiące się na przedшкоlnym podwórku. Pani A. chciałaby mieć domek z ogródkiem, wtedy Dino mieszkałby w budzie i hasał po podwórku do woli, jak inne psy w tej dzielnicy.

Którejś wrześniowej soboty pani A. wyszła wcześniej z psem na spacer, w parku spotkała koleżankę i tak się zagadały, że nie spostrzegły, w którą stronę pobiegł Dino. Pani A. długo chodziła parkowymi alejkami, zaglądała pod krzaki, wołała psa, pytała ludzi, lecz nikt nie umiał jej pomóc. Zmartwiona wróciła do swojego mieszkania, miała jednak nadzieję, że pies się odnajdzie. W niedzielę jeszcze raz poszła do parku, zagadnęła kilka sąsiadek o psa, wypytywała dzieci. Dino przepadł. Ktoś poradził jej, że powinna zamieścić ogłoszenie w gazecie i obiecać nagrodę za przyprowadzenie psa. Po kilku dniach rozległ się telefon, pani A. usłyszała, że pies, właśnie foksterier biały z brązowymi plamami, waleśał się po osiedlu. Na pytanie pani A., czy może odebrać zgnę, rozmówczyni powiedziała, że oddała go w dobre ręce. Ci ludzie są zamożni, mają wille, mercedesa, jeżdżą na drogie wczasy, pewnie oddadzą psa i nie zechcą żadnej nagrody. W tej samej sprawie telefonowało jeszcze kilka osób, ale każda pytała, jaką otrzyma nagrodę. Pani A. wyznaczyła miejsce i godzinę spotkania, jednak nie wierzyła nikomu. Dopiero ostatni telefon wydał się jej prawdziwy, tym bardziej, że rozmówca dokładnie opisał cechy charakterystyczne psa.

Wiadomością podzieliła się z koleżankami, któraś przypomniała sobie, że w pobliżu bloku, w którym mieszka

pani A., stoi nowa willa, przed nią często można spotkać mercedesa. Właściciel willi podobno jest rzemieślnikiem, bywa na Zachodzie, wygląda na człowieka zamożnego. Na pewno nie zechce nagrody. Cóż dla takiego bogacza znaczą tysiące czy dwa tysiące złotych, jeśli on obraca milionami!

Po południu pani A. udała się pod wskazany adres. Rzeczywiście willa była nowa, ogromna, zadbaną, i stał przed nią nowiutki mercedes. Gdybym miała taki dom — tęsknie pomyślała pani A. — nie chodziłabym z psem do parku. Skończyłam studia, mam rzadki zawód, a mimo to nie stać mnie nawet na fiacika. Za czyje pieniądze ludzie stawiają sobie takie domy? Naciśnęła przycisk dzwonka, przez domofon ktoś zapytał, w jakiej sprawie. Pani A. powiedziała, że jest właścicielką zaginionego foksteriera i chciałaby odebrać zgnę. Elegancki pan otworzył drzwi, wprowadził panią A. do saloniku, spytał, czego się napije. Nie chciałabym panu przeszkadzać — zaskoczona uprzejmością powiedziała pani A. — Odbiorę psa! Elegancki pan wyjaśnił, że kupił psa na targowisku. Wtedy pani A. przypomniała sobie to, co powiedziała jej pierwsza rozmówczyni. Pies jest rzeczywiście rasowy, zapewne po dobrych rodzicach, właśnie takiego chciałabym mieć w swoim domu. Widzi pani, często wyjeżdżam na kilka dni, ktoś musi pilnować mojego majątku. Pani A. powiedziała, że o psa trzeba dbać, wyprowadzać go na spacer, kąpać, karmić. Pan uchylił firankę: — podwórko jest duże, byłoby mu tu dobrze. Tak, tak — zgodziła się pani A. — Tęgo psa kupiłam na targowisku, za siedemnaście tysięcy złotych, to znaczy za piętnaście. Pani A. zrobiła wielkie oczy, wtedy pan wyjaśnił, że dwa tysiące złotych doda wówczas, gdy sprzedający mu człowieka przyniesie dokumenty potwierdzające rodowód psa. Jest gotów zwrócić foksteriera pod warunkiem, że pani A. zapłaci mu piętnaście tysięcy złotych. Wie, ile znaczy dla niej taki przyjaciel. Wtedy pani A. powiedziała, że gospodarz jest naciągaczem i jeśli natychmiast nie odda jej psa, to ona zgłosi kradzież na milicję. Pan się oburzył i orzekł, że skoro zapłacił piętnaście tysięcy złotych, to nie po to, by je stracić. Proszę o dokument potwierdzający, że pies należy do pani — wyciągnął rękę. Dino! — zawołała pani A. Do saloniku wbiegł pies i bez wahania skoczył na ręce pani A. Gospodarz zwiesił głowę, zacerzowił się i już niczego nie żądając wstał z fotela. Pani A. wyszła z willi. Kiedy stała na ulicy, zastanawiała się, za czyje pieniądze ludzie budują sobie takie domy.

E. NOWAKOWSKI

GLUPOTA POLAKÓW?

Wydaje mi się nieodzowne zabrać głos w związku z recenzją Wiesława Hładkiewicza o książce J. Benyskiewicza „Naród bez państwa”. O czynnikach integracji i dezintegracji narodu polskiego pod zaborami” (Nadodrże, Nr 9, 1988). Książka będąca próbą podważenia pewnych ustalonych opinii o sytuacji narodu polskiego pod trzema zaborami, zdecydowanie potępiająca zbrojne powstania, jako dowód braku rea-

lizmu w polskim myśleniu politycznym, akcentująca równocześnie sensowność i mądrość takich polityków jak ks. Druc ki-Lubecki i Aleksander Wielopolski, nie jest w swych podstawowych rozważaniach żadną rewelacją. Było już wielu historyków, którzy podejmowali ten temat, jak też wciąż znajdowali się obrońcy tzw. braku realizmu w polskim myśleniu i działaniu politycznym. Wydaje mi się patrząc na ten problem z perspektywy wielu dziesiątków lat, że mimo wszystko mieliśmy szczęście, że nie zwyciężył tzw. realizm, o którym z przekonaniem i wręcz sentymentalizmem pisze J. Benyskiewicz. Całe szczęście, że politycy polscy odrzucali zdecydowanie sugestie Aleksandra I o rekonstrukcji państwa, a nie o odbudowaniu Polski m.in. w roku 1811, bo życie w całej rozciągłości potwierdziło, że Aleksandrowi nie można było ufać. I tak było przez cały wiek XIX, gdy wszelkie propozycje, obietnice i sugestie kończyły się całkowitym fiaskiem.

Czy lepiej i słuszniej było więc podejmować walkę zbrojną? Nie waham się odpowiedzieć, że bez względu na ofiarę, była to słuszniejsza droga, bo nie dopuszczała do rozpłynięcia się sprawy polskiej. To był właśnie ten prawdziwy zdrowy nurt, a zatem to był wynikający z tej sytuacji realizm.

„Mesjaszu” czy „Chrystusie” narodów Europy. Doskonale scharakteryzował taką postawę A. Świętochowski pisząc że „zapatrzeni w niebo, zatraciliśmy z oczu ziemię”.

Zdecydowanie poparłem drogę przyjętą przez Wielkopolan, którzy wprzód mozną pracą potrafiliby przekształcić społeczeństwo w świadome swej polskości i gospodarnie, a następnie w najbardziej odpowiedniej chwili wznieść powstanie, pozostając w naszych dziejach jedynym efektywnym zbrojnym wystąpieniem. Moim zdaniem w tym przypadku żadne argumenty nie mogą podważyć tezy o racjonalności mego twierdzenia. Dalem temu wyraz w książce na str. 213.

Nie przeczę, że można w książce znaleźć pewną tendencję, którą można by określić jako potępienie wszelkich poczynań Polaków zmierzających do pogorszenia ich stanu m.in. poprzez postawienie naprzeciw siebie Polaków i Rosjan. Doc. W. Korcz postawę zaprezentowaną m.in. przez Druckiego - Lubieckiego, względnie Wielopolskiego, nazwał kolaboracją. Dla mnie natomiast ich program zawsze będzie realny, styczny, bo był wykładnią sytuacji politycznej w Europie wówczas istniejącej, której naruszenie groziło niewyobrażalnymi konsekwencjami.

Chciałbym w tym miejscu posłużyć się słowami Ksawerego Pruszyńskiego, zamieszczonymi w książce o Wielopolim (wydanej w r. 1944 w Londynie). Napisał wówczas: „było wielkością Aleksandra Wielopolskiego, iż rozumiał potrzebę współdziałania dwu największych narodów słowiańskich, że odczuwał groźbę niebezpieczeństwa germańskiego”. Jest to zresztą watek wymagaający odrębnej rozprawy, ale w kontekście współczesnych stosunków polsko-radzieckich wart przynajmniej zasygnalizowania. Podobnych poglądów przytoczyć można wiele, jak choćby Henryka Lisieckiego w odpowiedzi na krytykę hr. Tarnowskiego książki o Wielo polskim właśnie Lisieckiego. Pisał on, że „spodziewał się gromów ze strony ogółu chorobliwie drażliwego na praw dę historyczną, szczególnie zaś ze strony małych i wielkich winowajców, nad zwyczaj czułych na prawdę dla nich gorzką, bolesną i smrotną”.

Jak widać z tego oceny formułowane tak jednoznacznie przez doc. Korczę wobec niektórych osób związanych z naszymi dziejami nie zawsze mogą być przyjmowane bezdyskusyjnie. Mam świadomość, że tezy zawarte w książce „Naród bez państwa” są dyskusyjne, co zasygnalizowałem we wstępie i zakończeniu. Miałem nadzieję na wnieście dyskusji o problemach, które historiaografia, kierując się tradycyjnymi ustaleniami, dała nam do wzięcia, a które z pozycji polskich doświadczeń w ostatnich dziesiątkach lat powinny ulegać rewizji. Historia traktowana jest jako nauka, która żyje, ale nie może być nia być, gdybyśmy ustalali swego czasu oceny uznali za stałe, niezmiennie; gdybyśmy spoczywając w pokornej pozycji wobec kultury narodowej, nie widzieli poza nią innych elementów na drodze doświadczenia, elementu charakteru terytorialnych rozwoju narodu.

PS. Podobnie jak doc. Korcz również boleję nad kiepskim poziomem edytorskim książki. Odpowiedzialność autora za taki stan rzeczy pozostaje ilu zoryczna, podobnie jak za treść recenzji o jego książce.

Z pozdrowieniem dla autora listu i redaktora

JOACHIM BENYSKIEWICZ

któremu Polacy pozostali wierni chyba po dziś dzień. To był ten sam realizm który doprowadził, wbrew sceptycznym mowom wielu, do zwycięstwa w r. 1920. Ten sam realizm zdecydował o naszym „nie” w stosunku do nieuzasadnionych żądań Hitlera w r. 1939. Można by znaleźć więcej podobnych przykładów rzekomej głupoty Polaków w postępowaniu, która w ostatecznym rozrachunku okazywała się właściwą drogą. Chyba, że przyjmie się za dowód mądrości sugestie A. Bocheńskiego („Dzieje głupoty w Polsce”) — a wpływy tego autora można odnaleźć w dowodzeniu J. Benyskiewicza, że jedynym rozsądnym rozwiązaniem sprawy polskiej w okresie Sejmu Czteroletniego powinno było stać się nie uchwalenie Konstytucji a ściśle związane się z Rosją. I pisze to polski autor, po tak tragicznym doświadczeniu, jakie przeżyliśmy w wieku XIX i XX! Ten właśnie duch tzw. realizmu, którego echa próbuje J. Benyskiewicz odrodzić, przewija się jak przysłowiowa czerwona nitka przez karty jego książki.

W książce tej jest jeszcze więcej nurek, które należałoby poddać krytyce i odrzucić, jako próbie propagowania i rzekomej mądrości politycznej, zwyczajnego kapitulanta albo wręcz kolaborantizmu. Jakże można nie pamiętać, że powstanie kościuszkowskie, że przypomnę elementarne prawdy historyczne, uratowało zagrożoną rewolucję francuską a powstanie listopadowe Belgię, zagrożoną przez cara Mikołaja I interwencją. A powstanie styczniowe wobec zbyt daleko posuniętych prób zdławienia Polaków i rzużenia ich na kolana, musiało stać się jeszcze jedną zbrojnym protestem. Czyż mieliśmy w imię realizmu przyjąć postawę pokorną i wysłać podziękowania ca-

rowi, że jeszcze żyjemy z jego imperialistycznej łaski?

Żaluję, że ze zrozumiałych względów nie mogę strona po stronie podać analizę twierdzeń J. Benyskiewicza, choć z drugiej strony nie wszy stko odrzuciłbym, ale chyba wszystko „ustawiłbym” w innym porządku logicznym i bardziej zgodnym z doświadczeniami Polaków, nawet z tymi, które kosztowały nas wiele krwi, ale pozwoliły nam zachować polski, nam właściwy sposób myślenia, zawsze i niezmiennie gardzący wszelką kolaboracją i wszelkim oportunizmem.

P.S. Żalować należy, że dyskusyjna w swej treści książka J. Benyskiewicza wydana została tak niechlujnie, jak rzadko to można spotkać. Niezliczona ilość nie tylko pomyłek, ale przebieżenie akapitów i rażących opuszczeń, czynią z lektury książki istny koszmar. Chyba winić za ten stan rzeczy należy drukarnię i korektora.

Na koniec słów parę pod adresem recenzenta Wiesława Hładkiewicza, który czynił wszystko, aby nie wypowiadając własnego zdania w sposób jasny i zdecydowany, byle tylko pozostać w zgodzie z duchem recenzji nazywanych przez Boya — Zelenkiego „Biretowaniem”. Przy okazji pozwolę sobie zwrócić uwagę, że historykowi nie wolno popełniać rażącego błędu już w pierwszym zdaniu: „Podział Polski między trzy mocarstwa zaborcze Rosję, Niemcy i Austro-Węgry... itd”. Austro-Węgry pod koniec XVIII wieku? I chyba Prusy a nie Niemcy!

Łączę wyrazy poważania
WŁADYSŁAW KORCZ



BIĆ SIĘ CZY NIE BIĆ?

Słusznie więc twierdzi M. Szpakowska w recenzji wymienionej wyżej książki T. Lubieńskiego, iż: „Decyzję, by ułamać się nie bić, lub by bić się, lecz nie teraz, pytanie to zmieniało w wybór mniejszego zła, odbierało jej walor absolutny. Decyzję przeciwną, by walczyć, obciążało odpowiedzialnością za tych, co ułamek bić się nie chcieli. Na alternatywę składały się dwie nie-dobre możliwości: nie-dziwne, że taki układ lepiej niż w polityce owocował w romantycznej poezji („Twórczość”, 1979, nr 2).

Utrata suwerenności państwowej wyrażała dramat narodowy Polaków. I chociaż zaborcy „wymazali” Polskę z terytorialnej mapy Europy, to jednak Polacy nie utracili w okresie rozbiorów niewoli swojej polskości. Być Polakiem oznaczało polskość, przynależność do polskiej wspólnoty narodowej. W „Kronice Emigracji Polskiej” wydanej w 1837 r. w Paryżu czytamy m.in., że polskość: „Jest to udziałność przyrodzona narodowi, która jest podstawą, duszą, ręką i udziałnością polityczną”.

W. Korcz opowiada się chyba za daniną krwi Polaków względem mocarstw zaborczych — kiedy stwierdza dobitnie „bez względu na ofiarę była to (walka zbrojna z zaborcami W.H.) słuszniejsza droga (lecz od jakiej?), bo nie dopuszczała do rozpłynięcia się sprawy polskiej. To był ten prawdziwy zdrowy nurt i realizm”. To chyba wyraz emocji, któremu dać się ponieść ceniony historyk. Nie podzielał tej opinii. Ale przecież jest prawdą, iż znaleźli się wśród Polaków ci „członkowie zarówno obcego gwańtu, jak bratniej nieślawni”.

Do błędów w nazewnictwie państw zaborczych wypada mi się przyznać, chociaż trzeba tu zarazem dodać, że zmieniła się ona w XIX w. Co zaś dotyczy książki Joachima Benyskiewicza, to uważam, że należy bardziej jako książkę polemiczną i wcale nie wolną od krytycznych uwag, także pod względem jej konstrukcji jak i zawartości merytorycznej. Zabrakło mi np. wielu cennych prac, które autor nie pominął w bibliografii. A gdzie opracowania radzieckie czy niemieckie dotyczące zaborów Polski, nie wspominając już o literaturze anglosaskiej.

Z poważaniem
WIESŁAW HŁADKIEWICZ

Teledziwizyjni specjaliści doszli do wniosku, że jesteśmy już tak zepsutym społeczeństwem, iż dalsze zepsucie nam nie grozi. Konsekwencją tego było dopuszczenie całego społeczeństwa do uczestnictwa w festiwalu polskiej piosenki w Opolu, który do tej pory był najbardziej tajemnym, podziemnym i zakamuflowanym festiwalem na świecie. Przez lata całe dawkowano w telewizji starannie dobrane fragmenty programów z tego gniazda os, jakim jest opolski amfiteatr, robiono to przy tym w białych rękawiczkach: tłumaczono, że starają się pokazać samą esencję, że wycięto tylko niepotrzebne dłużyzny; pa miętami jak prasa opowiadała o wspólnym występie Smoleńca i Laskowika, którego teledwid. wie nie obejrza, oo akurat zacięła się kamera rejestrująca. Edward Gierk ustąpił i obejrzelismy ten program z zaciętej kamery.

Wreszcie mogliśmy obejrzeć festiwal polskiej piosenki. Przyznam się, że jest to mój ulubiony festiwal, nudzi mnie blichtr różnych Sanremo, Eurowizji, Sopotów, czy innych dalszych i bliższych piosenkarzów zapaśców, a Opole uwielbiam. To nie, że psują się mikrofony, że piosenkarki nie mają głosu, zawsze tam jakiś diament się znajdzie, a poza tym iluż znanych tam występuje i jak pięknie oni się starzeją. Za darmo i bez narażenia się na zmok niecie spędziłem wieczór, a właściwie noc (!) z Wojciechem Młynarskim. Mam w domu trzy płyty Wojciecha Młynarskiego, wszystkie zostały swego czasu przecenione, bo nie szły. Młynarski zaczął od wysoko zawieszony poprzeczki i to my musieliśmy nauczyć się przez nią skakać, bo pan Wojciech przez 25 lat podnosił ją coraz wyżej. Obecnie jego płyty nie zagrzewają miejsca w sklepie, tak jak i płyty Ewy Demarczyk, Włodzimierza Wysockiego i innych wykonawców piosenki ambitnej, refleksyjnej, krytycznej w stosunku do rzeczywistości. Chwała Młynarskiemu, który belfrował nam znakomicie przez 25 lat, a zważywszy na jego wiek i kondycję, to pobelfrowuje najmniej jeszcze drugie tyle.

Z występujących „na żywo” zespołów najbardziej przypadł mi do gustu zespół „pomarańczowych” z wokalistą Marco van Bastenem, Gullitem grającym na gitarze solowej i R. Koemanem na gitarze basowej. Był to koncert naszych marzeń. Cieszy fakt, że stał nas jeszcze na zakup takich widowisk, w których jedynym polskim akcentem jest sędzia bocznym. Ale już zupełnie nie rozumiem, dlaczego pozwolono mi zachwycać się finałem na kortach tenisowych Roland Garos, przeciwieństwa cjonat Fibak nie brał w nim udziału. PZPN słusznie obraził się na telewizję za to, że zamiast preferować rodzime rozgrywki ligowe popada w kosmopolityzm. Telewizja postarała się o rehabilitację prezentując przez kilka dni pod rząd trofeum Pucharu Polski w intymnym zmiekkczonym oświetleniu, nieczym herbatką „Paracelsus” dostępną w skle pach „Pewexu”. Z góry było wiadomo, że w tym żalonym widowisku nazwanym finałem PP górą będzie poznanski Lech, który odpadnie po pierwszej rundzie gier pucharowych skonfrontowany z fińską drużyną Gdzierakizimmonen.

Nasz Koeman gra we Włoszech, nasz van Basten zarabia na kolejnego opła w RFN, a rodzimym Gullit woli samochodowe rajdy po Warszawie i potracanie staruszek na zewnątrz. W tej sytuacji Łazarek czujnie obserwuje rozgrywki trzeciej ligi i tam stara się znaleźć swoją Wunderwaffe na niezwykłą drużynę Albanii. Jeśli już jesteśmy przy niemieckich słowach, to sądzę, że niemal cały futbolowy świat cieszył się z przegranej Niemców w półfinale i nie była to w żadnym wypadku radość podsyżta antyniemieckością, lecz radość kibiców ze zwycięstwa sztu ki nad rzemiosłem. Sądzę, że ci znakomici piłkarze wyciągną właściwie wnioski z holenderskiej lekcji i we Włoszech zobaczymy wielką piłkę w wykonaniu Niemców, którzy może nawet za grają w finale z gospodarzami Mistrzostw Świata, bo oglądając Włochów w RFN nie wątpię w przyszłość tej drużyny. Drużyna ZSRR miała wielką szansę na tytuł mistrzowski, nie udało się nie tylko z powodu znakomitej dyspozycji Holendrów. Ci talentowani i momentami znakomici piłkarze mają chyba siebie serdecznie dość, najkonsekwentniej realizowane założenia taktyczne nie były w stanie zastąpić radości z gry i pierwsiastka improwizacji. „Kijowski klasztor” przynajmniej w finale nie zdał egzaminu.

Pod adresem naszej telewizji pada wiele zarzutów i pretensji, po minio nych tygodniach możemy tylko utyski wać na skrócone noce i ból w kręgosłupie.

PIOTR PIOTROWSKI

Kiedy słucham zarzutów stawianych dziewczynie takiej jak Lucienne, kiedy słyszę, jak się ją oczernia i poniża za to, że jest zimna i łatwa do kupienia, albo że działa zbyt mechanicznie, albo że się zanadto spieszy, albo że tamto, mówię sobie w duchu: uważaj, przyjacielu, nie tak ostro! Pamiętaj, że jesteś na samym końcu pochodu, że cały korpus armii ją obiega, że została spustoszona, spłądowana i złupiona. I mówię do siebie: uważaj przyjacielu, nie żałuj tych pięćdziesięciu franków, które jej dałeś, mimo że jej alfons przesra je na Faubourg Montmartre. To jej pieniądze i jej alfons! To ciężka krwawica. Pieniądze, które nigdy nie wyjdą z obiegu, ponieważ w Bangu de France nie ma nic na co można by je wymienić.

Tak sobie często rozmyślam, kiedy siedzę w swojej małej miszce zonglując raportami Havasa albo rozplątując paski depezy z Chicago, Londynu i Montrealu. Między cenami gumy i jedwabiu czy zboża z Winnipeg przesacza się trochę zgłęb i harnidru z Faubourg Montmartre. Kiedy przewodzi słabną i miękka, centrale zawożą, i to, co lotne, burzy się, kiedy rynek zbożowy chwile się i wali, a byki zaczynają ryć, kiedy każda pier... kłeska, każde ogłoszenie, każda notatka sportowa, artykuł o modzie, każde przybycie statku, reportaż z podróży, każda porcja plotek — zostały naszpikowane znakami przestankowymi, przejrzałe, skontrolowane, przedziurkowane i przeciągnięte przez srebrne bransoletki, kiedy słyszę, jak tłuką pierwszą stronę i widzę żaby tańczące dookoła jak pijane szrapnele, myślę o Lucienne żeglującej po bulwarze z rozpostartymi skrzydłami, niczym wielki srebrny kondor zawieszony nad leniwym ruchem ulicznym, dziwny ptak znad wierzchołków And, o różowobiałym brzuchu i z twardą małą główką. Czasami wracam do domu sam i podążam za nią przez ciemne ulice, przez dziedziniec Luwru, przez Pont des Arts, przez Arkady, przez dróżki i szczytyny, sennosć, narkotyczna biel, kraty Ogrodu Luksemburskiego, splecione konary, chrapanie i jęki, zielone żaluzje, brzdąkania i dzwoneczki, punkciki gwiazd, błyskotki, dżety, błękitno-białe pasiaste markizy, które, przelatując, muska końcami skrzydeł.

W błękitie elektrycznego zmierzchu bieleją po gryzione lupiny fistaszków; lilie wodne pochylają się i łamią wzdłuż plaży Montparnasse. Kiedy zaczyna się odpływ i pozostaje tylko para syfilitycznych syren wyrzuconych na zaśmiecony brzeg, Dome wygląda jak strzelnica powalona cyklonem. Z wolna szybko skapuje z powrotem do ścieków. Śmiertelny spokój zapada na jakąś godzinę, kiedy to usuwa się wymiocy. Nagle drzewa zaczynają skwierczeć. Z jednego końca bulwaru w drugi wznosi się obłok kłęba piosen. Jest to jak sygnał, który ogłasza zamknięcie gieldy. Jeżeli były jakieś nadzieje, zostały zmyte. Nadchodzi chwila, aby ostatni raz opróżnić pecherz z uryny. Dzień wkrada się jak trędowaty...

Kiedy się pracuje nocami, należy bezwzględnie przestrzegać swojego rytmu; jeśli nie pójdziesz się do łóżka, zanim ptaki zaczną świergotać, nie ma sensu w ogóle się kłaść. Tę rana nie mając nic lepszego do roboty, odwiedziłem Jardin des Plantes. Cudowne pelikany z Chapul tepec i pawie z inkrustowanymi ogonami, patrzące na człowieka tępych wzrokiem. Nagle lunął deszcz.

Wracając autobusem na Montparnasse, zauważyłem naprzeciwko siebie małą Francuzkę, która siedziała sztywna i wyprostowana, jakby lada chwila miała sobie muskać piórka. Siedziała na brzegu ławki, jakby bała się przynieść swój wspaniały ogon. Cudownie by było, pomyślałem, gdyby tak nagle się otworzyła i z jej derriere wyskoczył i otworzył się inkrustowany wachlarz długich jedwabistych piór. W Cafe de l'Avenue, dokąd wstąpiłem coś przegrzyć, kobieta z bruchem jak balon próbowała mnie zainteresować swoim stanem. Chce, że byśmy wstąpili gdzieś do pokoju na godzinę lub dwie. Po raz pierwszy w życiu spotyka mnie propozycja ze strony kobiety ciężarnej: trochę mnie kusil, żeby spróbować. Jak tylko urodzi i odda dziecko do zakładu, wróci do swego zawodu, powiada. Robi kapelusze. Widząc, że moje zainteresowanie słabnie, bierze moją rękę i przykłada ją sobie do brzucha. Czuję, jak coś tam się rusza. Odbiera mi to apetyt.

Nigdzie poza Paryżem nie spotkałem takiej rozmaitości dań seksualnych. Jak tylko kobieta traci przedni zab albo oko czy nos, puszcza się na całego. W Ameryce umarłaby z głodu, gdyby nie miała do pokazania nie prócz kaleki. Tu jest inaczej. Brakuje zab, wytarty nos czy wypadająca macica, jakakolwiek przypadłość obniżająca kobiecość, jest traktowana

jako dodatkowa pikanteria, jako czynnik pobudzający wyrafinowane apetyty samców.

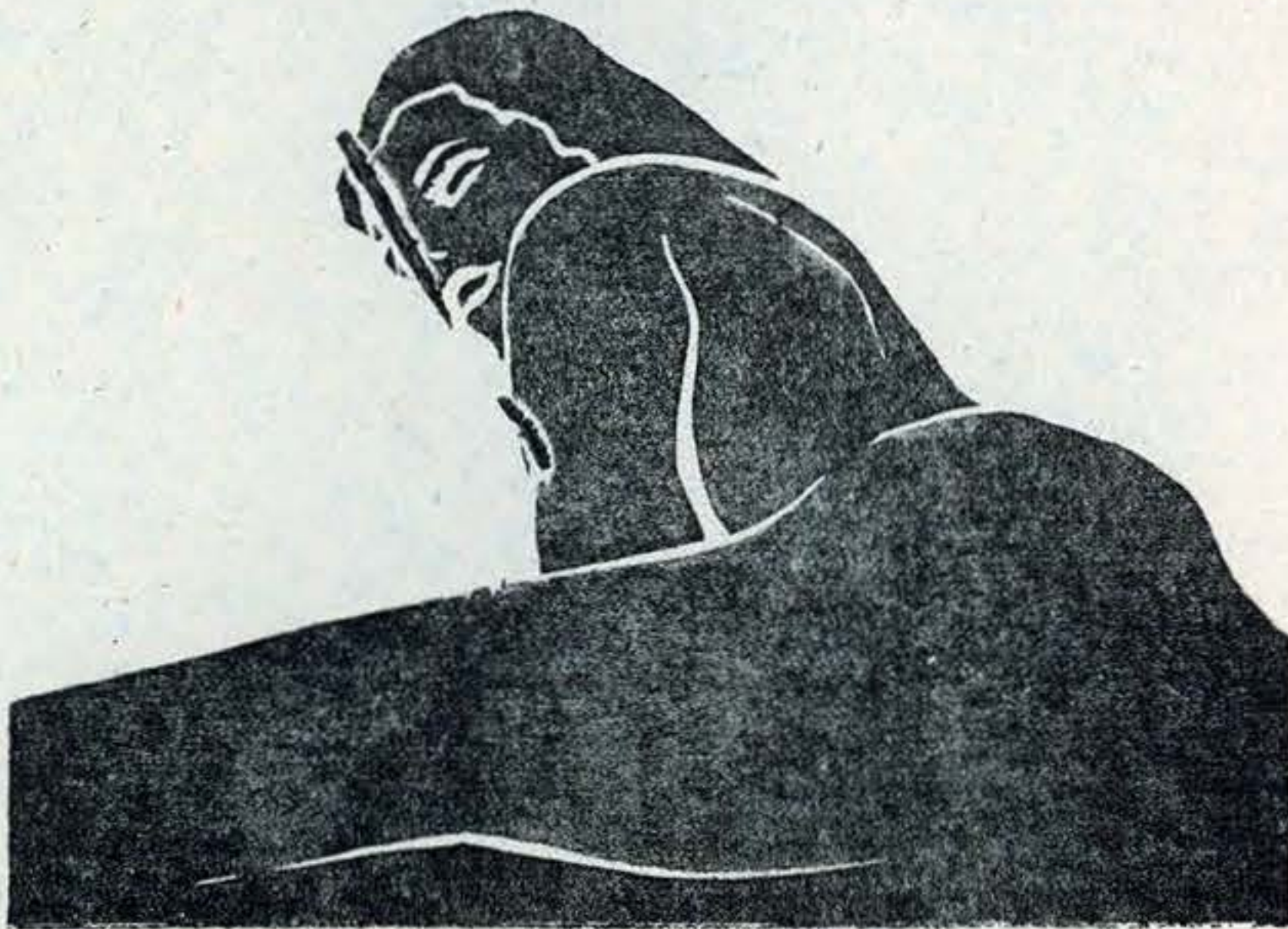
Mówię, oczywiście, o świecie typowym dla wielkich miast, świecie mężczyzn i kobiet, z którymi ostatnią kroplę soku wyciska maszyna — słowem, o mężczyznach współczesnego postępu...

Niewiele później, tego samego popołudnia, kiedy znalazłem się w galerii sztuki przy Rue de Seze, otoczony mężczyznami i kobietami Matisse'a, znów zostałem wciągnięty w przywilej rewiry ludzkiego świata. Na progu tej wielkiej sali, której ściany zdają się teraz pisać, przystanę na chwilę, aby otrzaskać się z szokiem, jakiego doznałem się, kiedy usunął powieszoną szarą szatę i kiedy barwa życia tryska w pieśni i wierszu. Wkraczam w świat tak naturalny, tak pełny, że aż się gubię. Mam wrażenie, że zanurzyłem się w samej istocie życia, gdzie ogniskują się wszystkie postawy, stanowi-

ZWROTNIK RAKA

Henry Miller

(9)



Rys. LESZEK HERMANOWICZ

ska, punkty widzenia, jakie mógłbym zająć. Zgubiłem się jak wtedy, kiedy raz wpadłszy w samą gęstwę kwitnącego gaju, posadzony w jałowym pokoju ogromnego świata Balbec, chwyciłem po raz pierwszy głębokie znaczenie tych kłiszy wewnętrznych, które ujawniały się w egzorcyzmach spojrzenia i dotknięcia. Stojąc w progu świata stworzonego przez Matisse'a, ponownie doświadczałem mocy tego objawienia, co pozwoili Proustowi tak zdeformować obraz życia, że tylko ci, którzy podobnie jak on sam, są wrażliwi na alchemię tonów i zmysłów, potrafili przełożyć negatywną rzeczywistość życia w rzeczywistość i znaczący kontur sztuki. Tylko ci, którzy potrafili wpuszczać światło do swoich drzwi, mogą wyłożyć, co się dzieje w sercu. Przypominam sobie wyrażenie, jak zderzające się bliski i refleksy światła z masywnych kandelabrow rozpryskują się, pobudzają krew, centkują czubki fal bijących monotonnie o ciemne złoto za oknem. Na brzegu splecione kominy i maszty, i postać Albertyny jak przydymiona zjawia sunąca przez pianę, wtapiają się w tajemniczy gąszcz i przysmat protoplazmatycznego królestwa, jednoczą swój cień z marzeniem i zwiastunem śmierci. A pod koniec dnia ból wznoszący się jak opary z ziemi, zwierający się wokół smutek, przesłaniający bezkresną pa-

stol u steru, patrząc spokojnie niebieskimi oczyma w paletę czasu. Do jakich to odległych zakątków nie zapuścił swego bystrego, bacznego spojrzenia? Patrząc znad olbrzymiego przylądka własnego nosa, widział wszystko — Kordyliery opadające do Pacyfiku, historię diaspory na welinie, zasłony fruujące nad plażą, wcięcie fortepianu jak koncha, korony płatków przesiewające światło, kameleony wijące się pod prasą introligatorską, seraje gasnące w oceanach pyłu, muzykę wypielającą niczym ogień z ukrytej chromosfery bólu, spory i madrepory zapładniające ziemię, pepki wymiotujące jasną iskrą meczarni... On jest świetlistym mędrcem, tańczącym jasnowidzem, co jednym pociągnięciem pędzla usuwa szpetne rusztowanie, do którego prawa natury przykuły ciało człowieka. On jest tym — jeśli w ogóle ktokolwiek dzisiaj posiada ten dar — który wie, gdzie rozrzedzić ludzką postać, który ma odwagę poświęcić harmonijną linię po to, aby tropić rytm i szmer krwi, który bierze światło odbite w nim samym i daje mu płynąć przez paletę kolorów. Pod drobiazgi, chaosem, parodią życia odkrywa niewidzialny deseń; obwieszcza swoje odkrycie metafizycznym barwnikiem przestrzeni. Nie szuka recept, nie wieśna na krzyżu Idei, nie zna przymusu innego niż twórczy. Nawet jeśli świat się

Sceny miłosne w literaturze pięknej

rozpadnie, będzie człowiekiem, który pozostanie w centrum, pozostanie silnie utwierdzony i zakotwiczony, wirującym coraz bardziej odśrodkowo w miarę przyspieszania procesu rozkładu.

Świat coraz bardziej przypomina sen entomologa. Ziemia wypada ze swojej orbity, oś się przesunęła, z północy sieka potężne podmuchy śniegu jak błękitne noże. Następuje nowa epoka lodowcowa, poprzeczne szwy się zamykają i wszędzie wskroś pasów zboża umiera płodowy świat, obracając się w martwy mastoid. Cał po cał wysychają delty, a koryta rzek są gładkie jak szkło. Świta nowy dzień, metalurgiczny dzień, w którym ziemia zadzwierzy lawiną złotego krużcu. W miarę jak spada temperatura, zaclera się kształt świata; istnieje jeszcze osmoza, tu i tam jakaś artykulacja, ale na obwodzie żyły już się zatkały, na obwodzie zakrzywiały się fale światła, a słońce krwawi jak pęknięta odbytnica.

Na samej płaszczyźnie tego rozpadającego się koła znajduje się Matisse. I będzie tak się toczył, póki wszystkie elementy tego koła nie ulegną rozpadowi. Zdażył się już przetoczyć przez większą część naszego globu, przez Persję, Indie i Chiny, i jak magnes przyciągnął do siebie mikro skopijne cząsteczki od Kurdów, z Beludżystanu, Timbaktu, Somali, Angkoru, Tierra del Fuego. Odaliski ozdobił malachitem i jaspisem, ich ciała osłonił tysiącem oczu, uperfumowanych oczu zanurzonych w spermie wielorybów. Gdziekolwiek zawieje bryza, ukazują się piersi zimne jak galareta, nadlatują trzepoczące białe gołębie i parzą się w lodowobłędnych żyłach Himalajów.

Rozpadają się w strzępy tapety, którymi ludzie nauki zakryli rzeczywisty świat. Wielki burdel, który zrobili z życia, nie wymaga upiększeń; ważne jest tylko, aby ścieki działały prawidłowo. Nadszedł kres piękności, tej kociej piękności, która w Ameryce chwytała nas za jaja. Aby zgłębić ową rzeczywistość, trzeba najpierw zdemontować ścieki, otworzyć zgangrenowane przewody tworzące układ moczopłciowy, przez który przychodzą wydzieliny sztuki. Zapach dnia to nadmanganian i formalina. Ścieki są zatkałe uduszonymi embrionami.

Świat Matisse'a jest nadal piękny na swój staroświecki, sypialniany sposób. Nie ma w nim łożysk kulkowych, kotłów żelaznych ani tłoków, ani kluczy francuskich. To ten sam stary świat, który śpieszył radośnie do Bois w sielskie dni wina i rozpusty. Odświeża mnie i koł przechadzanie się wśród tych stworzeń, które żyją, oddychają porami ciała i których to jest stałe, solidne jak samo światło. Czuję to z całą ostrością idąc bulwarem de la Madeleine, kiedy kurwy przemycają koło mnie, kiedy jeden rzut oka na nie przyprowadza mnie o dreszcz. Czy dlatego, że są takie egzotyczne albo dobrze odżywione? Nie, rzadko się spotyka piękna kobietę w bulwarze de la Madeleine. Ale u Matisse'a w poszukiwaniach jego pędzla, jest drżący blask

światła, który wymaga tylko obecności kobiety dla skryształowania najbardziej ułotnych pragnień. Spotkać kobietę oferującą siebie podstępem, na tle reklam bibulek do papierosów, rumu, akrobatów, wyścigów konnych, gdzie ocalone listowie drzew łamie ciężką masę ścian i dachów, to doświadczenie, które przekracza granice znanego nam świata. Czasami wleczołem przemycając pod murem cementarnym natykam się na upiorne odaliski Matisse'a, uczepione drzewo o spletanach grzywach przesłanionych sokiem. Parę metrów dalej, usytuowany przez nieobliczalne eony czasu, spoczywa sztywno spowity jak mumia upiór Baudelaire'a należący do świata, który już nie będzie straszny. W ciemnych kątach kawiarni siedzą mężczyźni i kobiety ze splecionymi rękami, o posiniaczonej pośladkach: obok stoł garcon z fartuchem pełnym sous, czekający cierpliwie na przerwy, aby się rzucić na żonę i przykutać ją. Nawet kiedy świat się rozpada, przetrwać należącego do Matisse'a wstrząsa olśniewający, zapierający dech orgazmu, powietrze jest ciężkie od stęgnącej spermy, drzewa splecione jak włosy. Na rozkołysanej ośce koło spokojnie toczy się w dół; nie ma hamulców, łożysk kulkowych ani opon. Koło się rozpada, ale obrót trwa...

(Fragmenty prozy Henry'ego Millera w przekładzie Zofii i Lucjana Porębskich przytaczamy za miesięcznikiem „Literatura na świecie”, nr 5-6 z 1987 r.)

JESZCZE O AIDS

Przytaczane są wciąż nowe dane o rozwoju tej przerażającej choroby oraz wysiłkach podejmowanych przez liczne zespoły uczonych, lekarzy, mikrobiologów, by znaleźć skuteczne środki zaradcze wobec tego budzącego wciąż powszechną grozę zjawiska, określonego mianem „dżumy XX wieku”.

Jeden z publicystów francuskich zwrócił się do znakomitego naukowca — dr. François Denauda z paryskiego Instytutu Pasteura, z pytaniem, czy rzeczywistość AIDS można określić „dumą XX wieku”? Dr. Denaud zajmujący się od lat problematyką AIDS — najpierw w słynnej klinice w San Francisco specjalizujący się w tej dziedzinie, a obecnie w Paryżu, i okresowo w innych krajach — odpowiedział następująco:

— Z medycznego punktu widzenia dżuma była dla ludzkości straszniejsza, zabila więcej ludzi z racji ówczesnych warunków społeczno-ekonomicznych: mniej rozwinięta była medycyna, posiadano skromniejszą farmację, profilaktyka była niemal nieznaną. Musimy je jednak pamiętać, że obok medycznego istnieje także aspekt psychologiczny tej choroby. Pierwsi chorzy na AIDS czuli

się tak, jakby byli chorzy na dżumę: byli dyskryminowani przez otoczenie. Ale obecnie sytuacja zmienia się na lepsze, prowadzona jest szeroka kampania informacyjna. Ludzie znają drogi przekazywania wirusa.

Wszystko co wiemy, potwierdza, że są trzy możliwe drogi zakażenia: przez kontakty seksualne (zwłaszcza homoseksualne i w kontaktach z prostytutkami), przy przetaczaniu krwi a także przy wielokrotnym wykorzystywaniu tej samej strzykawki.

Występuje także przekazanie wirusa dziecku przez matkę podczas ciąży lub karmienia, gdy matka jest nosicielką wirusa lub znajduje się on w jej mleku.

Ludzi a zwłaszcza środowisko medyczne interesuje czy lekarze są także na rażeni. Z dotychczasowych danych wynika, że nie było ani jednego przypadku zarażenia się lekarzy, którzy stykali się

z chorymi. Istnieje pewien stopień ryzyka dla tych, którzy pobierają krew, robią analizy i operują. Nieuwaga może doprowadzić do zarażenia, i wystarczy, aby kropla krwi spadła na uszkodzoną czy zadrażnioną skórę. Lekarze powinni opiekować się chorymi na AIDS, nosić rękawiczki, okulary ochronne i maski.

Wiele osób interesuje czy całowanie się z zainfekowanymi także jest niebezpieczne. Odpowiedź brzmi, że w ślinie chorych rzeczywiście wyodrębniono wirusa, ale jego koncentracja jest zbyt mała, aby mogło nastąpić zarażenie. Dlatego można nawet pić ze szklanki chorego — nie niesie to za sobą żadnego ryzyka.

Główne niebezpieczeństwo polega na tym, że o ile np. we Francji liczba chorych oblicza się na około 2,5 tysiąca, to liczba nosicieli wirusa wynosi już ponad 200 tysięcy i wciąż rośnie. Rzeczą groźną jest także to, iż AIDS wykraczał już poza obręb tych grup, które wcześniej atakował (homoseksualiści, narkomani, prostytutki). Wirus atakuje zarówno dośrodkowych, żyjących w małżeństwie, jak i dzieci. Statystyka dowodzi, że 10-30 procent nosicieli wirusa w ciągu 5 lat zaczyna chorować. Ale 70-90 procent na razie nie zachorowało. Nie wie my dlaczego. Sam ten fakt budzi jednak określony nadzieję.

Wszystkich interesuje, skąd może na dełże ratunek. Odróż zdrowi potrzebują szczepionki, chorzy — lekarstwa. Uzo-

ni nie sądzą jednak, aby udało się uzyskać te środki przed połową następnej dekady. Natomiast testy na obecność wirusa AIDS są wiarygodne prawie w 100 procentach.

Wszystkich ciekawi też, jaka jest właściwie różnica między tymi, którzy już chorują na AIDS a tymi, którzy są tylko nosicielami wirusa. Otóż po zarażeniu się wirusem AIDS człowiek przez pewien czas pozostaje praktycznie zdrowy. Okres ten trwa różnie, w zależności od organizmu.

Wirus znany jest już od 1981 roku. Są ludzie — nosiciele wirusa, u których choroba dotychczas nie wystąpiła. Ale nie wiemy, czy zdolają oni umrzeć „naturalną” śmiercią. Człowiek umiera nie bezpośrednio z powodu wirusa, ale na inne choroby z którymi organizm nie może walczyć, gdyż wirus uniemożliwia samoobronę. Dlatego też AIDS nazywa się oficjalnie „nabytym zespołem braku odporności”.

Nadzieję budzi fakt, że Amerykanie opracowali już prototyp szczepionki i po doświadczeniach na małpach mają przejść do doświadczeń na ochołnikach. Pierwsze próby wykazały, że szczepion-

ka jest nieszkodliwa, ale nie zabezpiecza ona przed infekcją, potrzebnych jest jeszcze wiele prób.

W niektórych krajach, również w ZSRR — pisała o tym otwarcie prasa radziecka — część społeczeństwa uważa chorych na AIDS niemal za przestępców, których należałoby izolować. Słyszano się głosy żądające drakońskiego ustawodawstwa. Powstał pomysł przeniesienia chorych do specjalnych rezerwatów w rodzaju tych, do jakich zsyłało się niegdyś trędowatych.

Oczywiście jest to bezmyślne, absurdalne i niehumanitarne. Ci, którzy to proponują, sami są zarażeni „wirusem nietolerancji”.

Jeśli to choroba, to niewątpliwie trzeba tych ludzi leczyć a nie izolować od społeczeństwa — stwierdził prof. Leonid Jonin. Trzeba szybko uwolnić się od tego okrutnego stereotypu uważającego chorych na AIDS za przestępców, którzy mogą zarazić całe społeczeństwo.

Trzeba walczyć z chorobą, a nie z jej potencjalnymi nosicielami.

Na podstawie prasy zagranicznej
Opr. MICHAŁ HOROWICZ



Mysł zachodnia w II Rzeczypospolitej

Otrzymałmy dwie naukowe monografie, będące dowodem wzrostu zainteresowania kształtowaniem się tzw. polskiej myśli zachodniej w II Rzeczypospolitej. Mowa o pracach Mariana Mroczo i Bernarda Piotrowskiego.

Pierwsze ze wspomnianych opracowań obejmuje szerszy zakres zagadnień. Punktem wyjścia rozważań autora jest pytanie o źródła i inspiracje nowoczesnej polskiej myśli zachodniej na przełomie XIX i XX w. Autor podkreśla wielkie w tym względzie zasługi obozu narodowej demokracji, a szczególnie jego głównych teoretyków i przywódców — Jana Ludwika Popławskiego i Romana Dmowskiego. To właśnie oni rozbudowali nowoczesny polski nacjonalizm o wyrażenie antyniemieckim nastawieniu, zwracali uwagę na problemy i znaczenie ziem zaboru pruskiego, domagali się włączenia ich w granice przyszłej, odrodzonej Polski: „... marną byłaby ta przyszła Polska — cytuję autor słowa J. L. Popławskiego — nie tylko bez Poznania, ale i bez Śląska, bez dostępu do morza, bez prowincji, które dziś do Prus należą, są koniecznym warunkiem istnienia państwa polskiego, jak dziś są warunkiem utrzymania potęgi prusko-niemieckiej...”

Opiniom tym Marian Mroczko przeciwstawia poglądy polityków skupionych wokół Józefa Piłsudskiego, którzy — jego zdaniem — nie podejmowali problematyki ziem zachodnich, wiążąc się w przededniu i w początkowej fazie I wojny światowej z Austro-Węgrami i Niemcami, szukając szansy rozwoju te rytorialnego Polski na wschodzie. Wymieniając kolejnych prekursorów myśli zachodniej, autor przedstawia sylwetki wybitnych uczonych m.in. Józefa Szulskiego, Tadeusza Wojciechowskiego, Wojciecha Ketrzyńskiego i Oswalda Balzera, zwracając też uwagę na zasługi pisarzy na czele z Sienkiewiczem, Prusem i Krasińskim.

Kolejne rozdziały interesujące pracy M. Mroczo przynoszą analizę ideologii i polityki zachodniej, wpisanej w szersze tło ówczesnych stosunków polsko-niemieckich. Zwraca on uwagę, iż główne formy organizacyjne „frontu zachodniego” kształtowały się w gorącym okresie powstań (wielkopolskiego i śląskiego) oraz plebiscytów: np. z powstałego w tym okresie Komitetu Obrony Górnego Śląska zrodził się Związek Obrony Kresów Zachodnich, późniejszy Polski Związek Zachodni. Na fali społecznego ożywienia i patriotycznej mobilizacji wyrosły instytucje społeczne i placówki naukowe, żeby z najważniejszych wymienić tylko poznański Uniwersytet, Towarzystwo Miłośników Historii Ziemi Zachodnich czy Instytut Bałtycki. Kontynuowały one działalność w trudnych dla obrony zachodnich interesów Polski warunkach, po traktacie w Locarno w 1925 r. dającym Niemcom duże nadzieje na możliwość rewizji granicy z Polską, jak i w czasie pozornego politycznego odprężenia po polsko-niemieckiej deklaracji o nieagresji z 1934 r. M. Mroczko przedstawia stanowiska różnych sił politycznych w Polsce do prób normalizacji stosunków z Niemcami w ostatnim pięcioletniu II Rzeczypospolitej. Polityka rządu

wobec Niemiec przejawiała się m.in. w taktycznych ustępstwach, łagodzeniu tonu propagandy i publicystyki. Prasa opozycyjna, szczególnie endecka, krytykowała rząd za niedostrzeżenie bądź ukrywanie niebezpieczeństwa ze strony hitlerowskich Niemiec. Dopiero w obliczu ich otwarcie agresywnego stanowiska na przełomie lat 1938-1939 r. nastąpiła konsolidacja całego społeczeństwa, szczególnie po twardej odpowiedzi min. Becka na żądanie niemieckie. Autor podkreśla, że katastrofa wojenna nie oznaczała zaprzeczenia dorobku międzywojennej myśli zachodniej — przeciwnie, jest zdania, że jej idee zyskały realny kształt w nowym miejscu Polski na mapie Europy po II wojnie światowej. Marian Mroczko wielokrotnie podkreśla rolę Poznania jako ośrodka kształtowania i upowszechniania myśli zachodniej, a szczególnie — range utworzonej w 1919 r. „Wszelchnicy Piastowskiej”, jak nazywano Uniwersytet Poznański.

Jego dziełom, w aspekcie spraw ziem zachodnich i niemieckich, poświęcona jest druga ze wspomnianych publikacji. Uświadamia ona, że z tematyką „zachodnią” związana była w jakiś sposób praktycznie cała humanistyka Uniwersytetu, a w szczególności archeologia i historia, etnografia i antropologia, a także geografia i rozwijająca się dopiero socjologia. Lektura książki B. Piotrowskiego pozwala zrozumieć, jak dalece działalność Wszelchnicy przyczyniła się do wykształcenia i kształtowania myśli politycznej i ideologicznej zachodniej, skierowanej się w owym czasie z dysponującym znacznie większym zapleczem badawczym — organizacyjnym i rewizyjnym — niemieckim. Działalność naukowa łączyła się tu z obywatelską i społeczną, a poczucie obywatelstwa i odpowiedzialności naukowej ze świadomością obywatelską wobec państwa i państwa, które traktowano jako wartości najwyższe, ponad aktualnymi podziałami politycznymi. Przykłady takich postaw daje autor, przedstawiając sylwetki luminary poznajskiej nauki tego okresu m.in. Teodora Tycy, „pioniera i rzecznika myśli zachodniej w Uniwersytecie” Józefa Kostrzewskiego, twórcy szkoły archeologicznej, Zygmunt Wojciechowski, znakomitego znawcy historii ziem zachodnich oraz wielu innych, również wybitnych, choć często mniej znanych. Prezentując dorobek poszczególnych twórców i całych galei nauki B. Piotrowski zwraca uwagę, że realizując cele naukowe bronili oni interesów narodowych, a w obliczu niektórych, rasistowskich teorii niemieckich — również na rodowej godności. Celom tym służyły opisywane w książce działania prof. Kostrzewskiego; dość wymienić polemikę z tezami o genetycznej niższości kultury Teodora Tycy o rozmiary i znaczenie średniowiecznej kolonizacji niemieckiej w Polsce. Autor zauważa, że badania historyków, archeologów czy etnografów często prowadziły do postulatów dalszych rewizji terytorialnych na granicy zachodniej. Wybitny językoznawca Mikołaj Rudnicki uznał np. linie Odry i Nysy Łużyckiej za najkorzystniejszą zachodnią granicę Polski, przy czym uważał ją za optymalną również dla Niemiec. Podobne poglądy reprezentował Zygmunt Wojciechowski: w jego przekonaniu tylko Polska nad Wisłą i Odrą byłaby jednolitością etniczną, geograficzną i polityczną.

Konieczne należy stwierdzić, że czytelnicy zainteresowani historią myśli zachodniej uzyskali dwa bardzo wartościowe, pełne, bogate faktograficznie i udokumentowane naukowo opracowania. Dowodzą one, że powojenny zwrot ku ziemiom zachodnim nie powstał w próżni, lecz był, zgodnie z logiką historii, konsekwencją wcześniej zapoczątkowanych działań społecznych i wysiłków naukowych.

TOMASZ NODZIŃSKI

Marian Mroczko: *Polska myśl zachodnia 1918-1939* (Kształtowanie i upowszechnianie). Poznań, Instytut Zachodni 1986, s. 430. Nakład 1000 egz. cena 300 zł.

Bernard Piotrowski: *O Polskę nad Odrą i Bałtykiem. Myśl zachodnia i badania niemieckie* (Znaczenie Uniwersytetu Poznańskiego (1919-1939)). Poznań, Instytut Zachodni 1987, s. 438. Nakład 1000 egz. cena 350 zł.

Nowości książkowe Wydawnictwa Poznańskiego

● Robert D. Bart: *Etruski grobowiec*. Powieść sensacyjno-kryminalna. Wyd. I, nakład 80 tys. egz., str. 177. Cena 310 zł.

● Franz Fühmann: *Sajens - Fikszen*. Przełożona z niemieckiego Wanda Piwowarczyk. Wyd. I, nakład 21 tys. egz., str. 180. Cena 280 zł.

● Romuald Krygier: *Szamotulskie. Prze wodnik*. Wyd. I, nakład 8 tys. egz., str. 162. Cena 180 zł.

● Ryszard Liskowacki: *Żywoł wieczny*. Wyd. II, nakład 10 tys. egz., str. 205. Cena 280 zł.

● Józef Pieprzyk: *Wielkopolscy zaci i niepcie*. Wyd. I, nakład 8 tys. egz., str. 305 z ilustracjami. Cena 500 zł.

● Włodzisław Scisłowski: *Donosy Erosa. Fraszk i para-fraszk*. Ilustrował Stanisław Ibis-Gratkowski. Wyd. I, nakład 40 tys. egz., str. 74. Cena 200 zł.

● Tadeusz Zimecki: *Od Hańczy do australijskiej Thomson River*. Wyd. I, nakład 20 tys. egz., str. 175. Cena 280 zł.

Literatura dla dzieci

● Marian Orłowski: *Kartki z ostatniej lawki*. Ilustrowała Maria Orłowska-Gabrys. Wyd. II, nakład 60 tys. egz., str. 78. Cena 180 zł.

● Hans Peterson: *Magnus i pies pokładowy Jack*. Przełożona ze szwedzkiego Teresa Chłapowska-Wnuczek. Wyd. II, nakład 80 tys. egz., str. 24. Cena 240 zł.

POSTAWY

1 Już zacząłem otrzymywać ostrzeżenia i groźby. Pisziesz — i wrogów coraz więcej. Nie piszesz — też swinię podłożą. I jak tu żyć, jeżeli wokół dyktatura? Ostrzeżono mnie, abym nie osmiał się nie z tego pisać o strajkujących Polakach, o „Solidarności”, która nadal istnieje i prężnie działa, o niektórych księżkach, którym myślą się zakładały przy zaciąganiu, wreszcie o nowej emigracji. Otrzymałem ponadto po napisaniu w „Nadodrze” felietonu „Zamienie księżyc” groźbę oskalpowania mnie. Dopuszczałem się bowiem profanacji legendy, zaszczytu ołtarzyń dziełacy „S”, którzy w Polsce cały czas byli, tak że musieli w końcu opuścić uchyłną Olszycę, wybierając Wolny Zachód. Toż Prawdziwi Polacy, kwiata Narodu Polskiego!

2 Fenomen polski: żąda się powszechnego pluralizmu, ciągłego poszerzania demokracji, pełnego dialogu, osłonięciem porozumienia, ale jeżeli ktośkolwiek wypowie zdanie odbiegające od myślenia wszelkiej maści „ideologów”, określających siebie jako „opozycję” — ten zaraz dostaje w twarz, wylewa się na niego kubek pomysł i knajpy „Lubuska”, wreszcie ochraźniony zostaje jako agent służb specjalnych i poddawany zaczyna być naciskom i szantażowi. Tak ma wyglądać prawo do normalności.

3 Wszystko byłoby jednak dobrze, gdybyśmy pisali, ale nie tu. Powinniśmy pisać tam. A jeżeli piszą już tu, to wiadomo co to oznacza. Trzeba zasadzić kolejne drzewko. Jest to coś z groteski, tak jak groteska jest ostentacyjną uczestnictwem w nabożeństwach osób znanych przed 13 grudnia 1981 jako osoby zwyczajne, wszelkie religie. Rzecz jasna, nawrócenie można uznać również za cnotę i zacząć odprawiać modlitwy za swe wcześniejsze występki marksistowskie. A jeżeli owe nawrócenie po pewnym czasie okaże się

czymś jednym zakretem? Mam kolegę, który dumnie siebie określa jako wierzący i praktykujący, wierzący, że komunizm po śmierci z piekła nie wyjdzie, ale — jak mi oznajmił — to on sam tak w ogóle w życie pogrobowe nie wierzy.

4 O czym więc można pisać? Chciałbym napisać o wystąpieniach kandydatów, kampanii przedwyborczej do rad narodowych, lecz tym powinienem zająć się felietonista-kłasyk z „Gazety Lubuskiej”, zamiast wysmiewać programy TVP. Ponadto, z natury jako realista, trudno jest mi pojąć — gdy tak przysłuchiwałem się wystąpieniom kandydatów na radnych — że po wyborach, w Polsce zapanie raju na ziemi. Przy okazji mogłbym napisać, że w Miroszynie Dolnym, w samym środku dziewiętego lasu, mają zacząć składać odpady pożywnościowe z kożuchowskiego „Polmo”. Ponoć środowisku naturalnemu nie się nie stanie, bowiem w atmosferę jedynie będzie ułatywała para wodna.

5 Czy wówczas stałbym się wiarygodnym? Też nie. Bo pisząc tu, więc także w „Nadodrze”, wiarygodnym się nie jest, bowiem pisma z koncernu RSW nie stosują adnotacji o ingerencjach cenzorskich, w przeciwnym razie, np. prasy katolickiej. Publicyści tamtej prasy za swój honor wiarygodności uważają, że jeżeli zabraknie w tekstach ich autorstwa ingerencji cenzorskiej — to z miejsca stają się niewiarygodni. Ale i ja pozwól sobie tak napisać: „Sprawa wstydliwa (—) — [ustawa z dn. 31.VII.1981. O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt. 3 (Dz. U. nr 20, poz. 99)] upór z reaktywaniem Klubu Środowisk Twórczych”. Dawniej jeszcze, w czasach II Rzeczypospolitej, ingerencje cenzorskie wyglądały jeszcze czyściej, prozę kolegów z prasy katolickiej. Po prostu niewygodne zdanie ówczesna cenzura wymazywała i w druku ukazywały się tylko białe pla-

my. Zatem moje zdanie wyglądałoby tak: „Wstydliwa sprawa... Obecnie weszliśmy w etap, że usuwa się wszędzie białe plamy, więc znie rza się do wiarygodności.

6 Ukryć się nie da, że w naszym polskim krajoznazie demokracji jest coraz więcej, że naród wywalczył sobie swobody zarówno religijne i kultu ralne. Gorzej jest z ekonomicznymi, ale — miejmy nadzieję — że i na to wreszcie przyjdzie czas. Potem przyjdzie kolej na wolność polityczną. Ale, gdy do tego dojdzie, pierwszej potrzeba stabilności państwa. Reguły są jasne, ale to tylko dla niektórych. Tzw. opozycja, która co miesiąc coraz bardziej ma skrepowane ręce starymi koncepcjami i stereotypami, uważa ciągle, że najpierw należy rozmontować system do końca, by później zacząć uzdrawiać gospodarkę. Wejść w szczeliny i rozsądzać.

7 Poglądy mam jedne, chociaż dotychczasowe moje życie dostatecznie mnie sponiewierało, abym mógł zdecydować się na jakieś przesunięcie w swoim konserwatyźmie. I tu jestem nieco, tak na szczytnie, zbliżony do opozycji. Czar naszej rzeczywistości ciągle doświadczam na własnej skórze, i w tej sprawie rozumiem się z podziemiem. Tamci swe grzechy i występki przetrzymują na barki innych. Nie mówię już, że jak diabeł święconej wody, boją się wszelkiego kompromisu. A ja — nie. Oto, idąc kiedyś zielonogórskim deptakiem, ujrzałem, jak przed kościołem Pod Wzwaniem Sw. Maryi, przyklepnął stary człowiek — ale nie ten pokutnik, który chasa po Zielonej Górze — może też trochę wariat, a może tylko ktoś bardzo pobożny. Słyszając czyjś rechot, spostrzegając pogardliwe spojrzanie przechodniów, ja, młody i długowłosy, mający tylko rower, przyklepnąłem przed tym kościołem także...

ZBIGNIEW M. JELINEK

okolicca wzrost

Nie lubię wymiany myśli, bo przeważnie na niej tracę. Jest z nią tak, jak z wymianą walorów filatelistycznych sztuka za sztukę. Daje człowiek Błękitnego Mauritiusa, a otrzymuje Czarną Gwadelupę, przeważnie lubie sprzedawanie myśli, zwłaszcza, za godziwą, nadążającą za inflacją, opłatą. Myśl ma się tak niewiele, a z czego żyć przecież trzeba, skoro z pisania osiąga się minimum, które pozwala jedynie na klepanie błędy.

Zrozumiał to, rozumiejący wszystko z antycznej perspektywy, Minister Krawczuk i podpisał nowy cennik za spotkania autorskie. Licencjonowany twórca, a nie wyobraźnia sobie aby oprócz dzieł nie tworzył myśli, choć i to może się zdarzyć, na przykład P. lub Cz. plus kilku moich znajomych, ma prawo, za odbyte w miejscu zamieszkania spotkanie autorskie pobrać honorarium od 4 do 6 tysięcy złotych, poza miejscem zamieszkania od 6 do 12 tysięcy złotych.

Rozumiem intencje pana Ministra. Niewypłacalny twórca struty kawą i bryzołem w wagonie Warszawy, nie mający forsy na opłacenie składki członkowskiej w twórczym związku, może być osobnikiem kompromitującym. Wiem, że pan Minister pragnie delikatnie po pełnić Krakowskie Przedmieście i Planty w kierunku Kuluszek, Pinczowa i Zielonej Góry. Przypomnę jednak, że mam w sobie pewne pomieszczenie, myśl wyłożona w miejscu zamieszkania jest tańsza, poza nim — droższa, choć obiektywnie jest warta tyle samo. Wszystko więc zależy od tego, w jakim miejscu, przed kim, co się mówi. „Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego” wyłożone w piekle, może rozświecić najpocześniejszego diabła, bo wymusza na nim starania o dodatkowe dostawy smoły, siarki i koksu, co przy tamtejszym systemie protekcyjno-rozdzielczym nie jest proste.

Dość istotne różnice cen myśli, uza letnione od miejsca ich wyłożenia, biorąc się być może z zasad reformy gospodarczej zastosowanej w kulturze. Dolicza się po prostu kosztu transportu. Benzyna, węgiel, części zamienne, droższe i to trzeba brać pod uwagę.

Łój yaka po tybetańsku

A skoro tak, to dlaczego jabłko wyhodowane w Grójcu jest obecnie droższe od pomarańczy przywiezionej z Kuby? Jabłko długo przechowywane jest droższe od zerwanego z drzewa. Z myślą zbyt długo przechowywaną jest wręcz przeciwnie. Mój postulat jest taki: myśli powstałe w Warszawie należy przewozić do Zielonej Góry statkami Polskiej Żeglugi Morskiej — ceny frachtów średniowiecznych, zaś kuchnia, co tu gadać, wysmienita, da nia z niej serwowane biją jakością, smakiem — bryzołem z Warszawy. Powiedzieć jeszcze mogą, że na statkach od bywają się bał kapitańskie. W wago nach PKP z naszym takim się nie spotkałem.

Moje wątpliwości związane z wprowadzeniem nowych stawek za spotkania autorskie, zgoda! są próbą rozse plania włosa siekierką, mają charakter ściśle teoretyczny. Targowisko sprzedający myśli jest w Zielonej Górze dokładnie oznakowane, a pieniądze tyle, ile ich było i jest, albo całkiem ich nie ma. Biedne szkoły prezen tują autorów za serdeczne. Bóg zapłać, lub majowy kwiatek. Długo udawać, że trzy tulipany są trzema orchideami, które dorównałyby parytetom wy znaczonej przez dobrego Ministra. Zakłamywać się na dłuższy dystans nie można. Za trzy tulipany szewe nie naprawi butów, co najwyżej da solid nego kopa. Nikt nie wie, co taki szewe gotów uczynić za trzy orchidee. Kto wie, może całkiem zstępnie i zaprosi na fiaczkę w kantorku?

Wiesć gminna niesie, że dla podreperowania budżetu rodzinnego, prezes, poeta i mój naczelnny przepis w kalciku wszystkich swoje wiersze z tomu „Tempo krajeństwa”, po to, aby je opchnąć za skromną opłatą w dziale rękopisów Biblioteki im. Cypriana Norwida. Nie widzę w tym nie zdrożnego, skoro rękopisów prawie nie ma, bo wszyscy piszą na maszynach. Reperowa nie dziur w budżecie J.K. byłoby lepsze, gdyby zaprosi go na wieczór autorski. Tylko, że dyrektor Biblioteki, doktor G. Ch. jest realista sparzonym na publiczności. Nikt nie jest prorokiem we własnym mieście. Kto w Zielonej Górze przyjdzie na spotkanie z miejscowym autorem, skoro en passant można go spotkać bez specjalnej fatygi na depta

ku? Dyrektor G. Ch. wierzy w publiczność Zagania, Lubuska, Raculi. Seedował spot kania autorskie na tamtejszych bibliotekarzy. I wilk syty i autor cały; zamiast minimum 4, minimum 6 tysięcy. Jazda autobusem podmiejskim do Raculi jest więc wysoce opłacalna. Jednakże być bez własnej woli wiezionym do tej miejscowości, a zwłaszcza głoszenie tam myśli, może autora mnóstwo kosztować. Zamiast zarobić, traci.

Pan G. Ch., dyrektor zaledwie wojewódzkiej biblioteki, jest doktorem. Na tomiast Klubowi Książki i Prasy w Zielonej Górze dyktuje pan R.B., ma gister. Ze względu na międzynarodowy charakter tej placówki powinien on już dawno być mgr he, co mu się należy również z przyczyn merytorycznych. Pan R.B. pragnie mieć bogaty program działalności prowadzonej przez niego międzynarodowej placówki, skazany jak wszyscy, na budżetowe wiązanie końca z końcem, znalazł wyjście, godne szerszego upowszechnienia. Łój z yaka, ewentualnie slajdy serwowane publiczności, trochę i placuszek podawane na prelekcji, pozwalają z podróżnikami — prelegentami o Tybecie i Indiach prowadzić tak zwany męski ton w kwestii ustalenia rachunku. Sumy mogą być dowolnie umowne. W ich obronie nie stanie żaden związek twórczy. Okazuje się, że można u nas być wydawcą, nie placąc autorom nawet złamanego grosza. I tą metodą wyćwiczoną w Zielonej Górze trzeba koniecznie upowszechnić. Chce poeta mieć swój debiutancki tomik — jest przecież jeszcze amatorem, proszę bardzo, to-mik tak, ale za darmo. Przed PIW-em, Czytelnikiem i innymi wydawcami wy łanają się oszalałe perspektywy.

W dzisiejszych czasach liczy się profesjonalizm. W polityce, w głoszeniu myśli. W syciu spodni. W picu wódki. Bo na taniość, bylejakosć, amator szczytnie zbyt wiele traci. Racjonalizacja cennika za honoraria autorskie, dostateczna na dziś, pretekstowe wapo maganie materialne twórców kultury, intelektualistów, z zupełnie innej przy czyny, ma w sobie element niezamierzonych okrucieństw; nowy cennik jest praktyczną ofertą selekcji i odrzutu sanitarnego.

RYSZARD ROWIŃSKI

WIDEOKLUB

Znak Salamandry

Korzenie tego filmu są wyraźnie widoczne. Powodzenie w latach 70-tych włoskiego kina politycznego i takich filmów jak: „Siedziwo w sprawie obywatela poza wszelkim podejrzeniem”, „Dajcie sensację na pierwszą stronę”, „Policja dziękuję”, „Trąd w pałacu sprawie dliwości” i innych, skłoniły Amerykanów do poszukiwania pozornie łatwych sukcesów w tym nurcie kina. Pokrewieństwa tego filmu z nurtem włoskiego filmu politycznego są widoczne, ale jeśli już trzymać się terminologii z drzewa genealogicznego, to „Salamandra” jest raczej nieudany bratem tamtych znakomitych filmów. Przede wszystkim zabrakło dobrego scenariusza, choć istnieją ślady dobrego pomysłu, to jednak scenarzyści zabrakło inwencji, co w dużym stopniu zaważyło na jakości filmu. Brak jest logicznej akcji i prawdo podobieństwa sytuacji. Bo proszę sobie wyobrazić polskiego konsula we Włoszech, który jest duszą puczu neofaszyzmu włoskiego. Polski konsul współpracuje z piękną Polką o swojsko brzmiącym nazwisku Anders, która sama o sobie mó-

wi, że jest „zawodową kochanką” — my znamy konkretniejsze określenia tej profesji. Polski konsul o pseudonimie „Dzięcioł” jest torturowany i zamordowany przez oprawcę ze służby specjalnych. To prymitywne morderstwo nie powoduje żadnych reperkusji dyplomatycznych. Film został zrealizowany w 1981 roku, to może tłumaczyć wiec, ale nie tłumaczy głupoty twórców tego „dzieła”.

Na początku filmu ginie członek włoskiego rządu, generał Pantaleone. Oficjalnie podaje się, że generał zmarł śmiercią naturalną, w rzeczywistości został zamordowany w tajemniczych okolicznościach. Przy zwłokach znaleziono kartkę z wizerunkiem salamandry, która ponoć w starożytności grała symbolizując sprawiedliwość. Śledztwo w tej sprawie prowadzi oficer kontrwywiadu pułkownik Matucci (Franko Nero) Sprawy ulegają komplikacji, gina najlepszy współpracownik pułkownika, Jemu samemu daje się do zrozumienia, żeby przestał zajmować się prowadzeniem śledztwa. Matucci zaczyna działać na własną rękę. Dociera do operatywnego Polki Anders i od niej dowiaduje się, że z jej generała Pantaleone zagnęły plany zamachu stanu. Rozpoczyna ją pełne przygód i niebezpieczeństw poszukiwanie kopii zaginionych planów. Matucci przegrywa kolejne rundy rozgrywek z potężnymi przeciwnikami, ale z niespodziewaną pomocą przychodzi Matucciemu wpływowy przemysłowiec, szara eminencja włoskiej polityki Mancini (Anthony Quinn). Final jest dość spektakularny i oryginalny, ale to nie ratuje całego filmu, któremu nie pomogła nawet uroda Claudii Cardinale.

Samotnie w ciemnościach

Do prowincjonalnego szpitala psychiatrycznego przybywa młody lekarz Dan Potter. Zapoznaje się on z warunkami panującymi w szpitalu i oryginalnymi metodami terapii stosowanymi przez jego kierownika. Na trzecim piętrze szpitala umieszczeni są szczególnie niebezpieczni psychopaci. W trakcie wzajemnej prezentacji wśród psychopatów zapanało przekonanie, że Potter zamordował swojego poprzednika, lubianego przez chorych lekarza. Chory przygotował się do zemsty. Potter zdaje sobie sprawę z zamiarów pacjentów, ale nie czuje się zagrożony, ponieważ chory są izolowani dzięki rzekomo pewnym urządzeniom opartym na systemie elektrycznych zamków i działających równie na prąd alarmom. Ale pewnego razu dochodzi do awarii pobliskiej elektrowni atomowej, w całym okręgu gaśnie światło. Czterech najniebezpieczniejszych psychopatów wychodzi na wolność, znacząc swoją drogę kolejnymi trupami. Psychopaci wlamują się do sklepu i zdobywają broń, udają się na poszukiwanie Pottera...

Ten solidny angielski thriller, w którym nie b.akuje zaskakujących niespodzianek, zrealizował Jack Sholder. Puenta filmu jest dość znacząca i przewrotna.

FAN

Nadodrże

Nowe rady

Wybory do rad narodowych i nowe demokratyczne doswiadczenia już za nami. Okazało się, że nie pamiętamy 99,9 proc. a tylko 62 proc. obywateli w woj. zielonogórskim i 54 proc. w woj. gorzowskim wzięło udział w wyborach. Wybrano nowe rady gminne, miejskie i wojewódzkie. W Zielonej Górze i w Gorzowie. Odbłyły się już pierwsze sesje nowo wybranych rad. Wyborcy oczekują, że w nowej sytuacji, jaką stworzyły przepisy prawne regulujące działalność rad, m.in. zwiększające ich samodzielność w podejmowaniu decyzji, poprawie ulegnie kondycja lokalnych odczyn.

Parlament nad jeziorem

Na dzień przed wyborami, z inicjatywą ZW ZSMP zebrał się nad pięknym jeziorem w Rudnie k. Wolsztyna Wojewódzki Parlament Młodzieży. Młodzi dyskutowali o własnej aktywności, doswiadczeniach i perspektywach działania młodych radnych. ZSMP brał aktywny udział w kampanii przedwyborczej — z poręki młodzieżowej organizacji, do rad stopnia podstawowego kandydowało 412 a do WRN 38 członków Związku. Ostatecznie, jak nigdy dotąd w radach narodowych znalazło się wielu młodych obywateli. Fakt ten nie powinien pozostać bez wpływu na działalność rad, winien natomiast zadac kłam stwierdzeniu — że „radny — bezradny”.

Nareszcie wakacje

Tysiące już cieszą się nimi. Byli jednak i tacy, którzy przed wakacyjnym wypoczynkiem musieli się jeszcze potrudzić... na egzaminach do szkół ponadpodstawowych i szkół wyższych. W Gorzowskim w tym roku szkoły podstawowe opuściło 7272 absolwentów, na których czeka w liceach ogólnokształcących 1100, w zasadniczych szkołach zawodowych 4437, w liceach zawodowych 203 i w technikach 1633 miejsc. W Zielonogórskim: dla 9460 absolwentów przygotowano w zasadniczych szkołach zawodowych ponad 5800, w ogólniackich — ponad 1300, w liceach zawodowych blisko 400, w technicznych 1830 miejsc. Najtrudniej zdać egzamin do szkoły wyższej, niefatwo żyje się po jej skończeniu. A i tak warto wierzyć, że „Myślenie ma kolosalną przyszłość”. Bo jeśli to nie jest prawda, to rzeczywistość, nie warto się ucyć. A na razie — nareszcie wakacje.

Vivat profesores!

Tacy jak oni, nie pozwalają wątpliwości w sens nauki. To dzięki nim rozjaśnia się w głowach, a „stara budo” pamięta się do końca życia. Z takimi właśnie nauczycielami z terenu całego woj. zielonogórskiego na zakończenie roku szkolnego w Żagańskim Pałacu Kultury spotkali się przedstawiciele wład wojewódzkiej i kurator oświaty i wychowania Henryk Batur. Troję spośród 57 zaproszonych nauczycieli wręczył on specjalne nagrody. Otrzymał je: Stanisław Musiał — dyrektor LO nr 1 w Zielonej Górze, Alicja Górska — kier. sekcji tanecznej w WMD „Dom Harcerza” w Zielonej Górze oraz Janina Lysik — nauczycielka języka języka rosyjskiego w LO nr 1 w Zielonej Górze. Wszystkim pozostałym wręczono wyróżnienia i dyplomy. Gratulujemy!

Nadodrże

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY — PISMO LUBUSKIEGO TOWARZYSTWA KULTURY

Adres redakcji: 65-067 Zielona Góra, p. Bobatów Stalingradu 13, i p. oraz adres korespondencji: 65-938 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 40. Telefon: redakcja naczelnego i sekretariatu 708-35, sekretarz redakcji 39-13 oraz centrala 46-61 do 1 (dla telefonów wewnętrznych) Telex 043223. Redakcja jest zespół Halina Ańska-Skarbek, Leszek Heimanowicz (red. graf. tech), Janusz Komus (red. naczelnego), Zenon Łukaszewicz (kier. red. nacz.) Wiesław Nodzyński (sekretarz).

Reprodukujemy dwa znaczki z emisji „XXIV Igrzyska Olimpijskie — Seul” wydanej 27 czerwca br.

Kontrakt „Zastalu”

Jedną z większych transakcji jakie dokonano na tegorocznych Targach Poznańskich, był kontrakt zawarty między polskim „Kolmexem” i radzieckim „Maszynimportem”. Poważny udział w tym kontrakcie ma zielonogórski „Zastal”. W ciągu dwu najbliższych lat ma on wyeksportować do ZSRR 3400 wagonów samowyladowczych typu dumpcar. Ponadto fabryka ma dostarczyć w przyszłym roku do CSRS 40 wagonów samowyladowczych typu 428. Na brak roboty zastalowcy nie mogą się użalać, oby tylko „wszystko grało”.

„Ryty i mity”

To tytuł wystawy, której twórcą jest długoletni pracownik muzeum zielonogórskiego a obecnie dyrektor Muzeum w Gdańsku dr Marian Kwapiński, jaką z okazji XXX-lecia Muzeum Archeologicznego Środkowego Nadodrza zaprezentowano w podzielonogórskiej Świdnicy. Pierwsza wystawa tego typu w Zielonej Górze 30 lat temu nosiła tytuł „Pradzieje Ziemi Lubuskiej”. Bo też zielonogórscy archeolodzy byli wśród pierwszych historyków i pracowników nauki po wojnie, którzy podjęli się trudnego uduowodnienia i udukuementowania słowiańskiej i polskiej historii tej ziemi, zaś nazwiska takich archeologów — jak mgr Edward Dąbrowski, dr Adam Kolodziejski, dr Andrzej Marcinkian są z tą historią silnie związane. Jubileusz był też powodem sesji naukowej sumującej dorobek zielonogórskiej archeologii. Sesja odbyła się w pięknej siedzibie Muzeum w Świdnicy, do zwiedzania którego w czasie wakacji gorąco zachęcamy.

XXX-lecie „Celulozy”

„Celuloza” to Kostrzyn. Powojenna historia tej fabryki nierozdzielnie związana jest z miastem, z którym wojna obszała się okrutnie. Dźwignięcie z ruin fabryki oznaczało to samo w odniesieniu do miasta. Pod koniec 1949 r. powstał projekt jej odbudowy. Głównym projektantem był inż. Ludwik Banaszak, który od 1957 r. był pierwszym dyrektorem tej fabryki. W Kombinacie Celulozowo-Papierniczym, w jaki się ona przekształciła, w 1970 r. pracowało już 2000 osób. Produkcja celulozy w 1959 r. wyniosła 16,2 tys. ton, by w 1977 r. osiągnąć 57,7 ton. Dostawy papieru na różne cele sięgnęły w 1974 r. 2,2 tys. ton.

Fabryka nadal rozwija się wraz z miastem.

Nagrody dla miłośników fotografii

W ogólnopolskiej pokonkursowej Wystawie Fotografii dla Dzieci i Młodzieży Szkolnej, którą po raz czwarty zorganizowano w Białymstoku uczestniczyło także dwudziestu autorów z naszego regionu. Siedmiu z nich wyróżniono Robert Zaliński (w najmłodszej grupie wiekowej obejmującej szkoły podstawowe) oraz Roman Kukliński i Bogdan Misiński z Zaskiego Domu Kultury otrzymali równorzędne trzecie nagrody, zielonogórzanie — Waldemar Szmidt i Witold Płociński z Klubu „Uśmiech” — wyróżnienia. Wojciech Miedziński z Zespołu Szkół Samochodowych w Zarach — dyplom ZPAF Okręgu Północno-Wschodniego i Zbigniew Szezęsny z Zaskiego DK dyplom Białostockiego Tow. Fotograficznego. Wystawa obejmowała 286 prac 114 autorów Jury, któremu przewodniczył prezes ZG ZPAF Paweł Pierściński wybrało je spośród 1075 nadesłanych przez 226 autorów, przysługujących im nagrody.

Gdybym był pisarzem i malarzem

publicznych, w czasie których były czy Annie Zak z Pamięćna. We wszystkich lub opowiadane wybrane książki. Podczas omawiania lektury dzieci wybierały najciekawsze jej fragmenty, a następnie przedstawiały własną wizję plastyczną.

Rysunki po wstępnej ocenie prowadzącego zajęcia i przez poszczególne zespoły dziecięce, kluby i biblioteki publiczne przesyłaly do jednostek nadzórnych, a te — do Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki.

Do zielonogórskiego przedsiębiorstwa wpłynęło ogółem 1620 prac plastycznych z terenu obu województw lubuskich. Jury po przejrzeniu wszystkich prac postanowiło przyznać w poszczególnych grupach wiekowych nagrody następującym uczestnikom konkursu.

W grupie wiekowej 6—9 lat, pierwsze nagrody otrzymali: Dorota Bełec ze Starego Polichna, Zbigniew Bilchirz z Grodziszca, Wojciech Wojtas ze Słubie i Stanisław Stachera z Brzozy. Ponadto w tej grupie, przyznano 12 wyróżnień. W drugiej grupie wiekowej 10—12 lat pierwsze nagrody przypadły: Marcie Urbańczyk ze Słubie i Mariuszu Wi Surnie ze Strzelca Krajeńskich. Drugą nagrodę otrzymał Marek Kaczmarek z Miechowa. I wreszcie w ostatniej grupie wiekowej 13—15 lat pierwszą nagrodę przyznano Katarzynie Darowskiej ze Strzelca Krajeńskich oraz dwie drugie nagrody: Iwonie Hrabskiej również ze Strzelca Krajeńskich oraz

W grupie wiekowej 16—18 lat, pierwsze nagrody otrzymał: Renatę Myślićką ze Świebodzina, Annę Krecznar z Lubienia i Sebastiana Gere z Nowin Wielkich.

I wreszcie w trzeciej grupie wiekowej, dwie pierwsze nagrody otrzymał: Sylwia Przewłocka z Niwisk i Agnieszka Maciejewska z Krosna, drugą Iwonę Hrabską ze Słubie, a trzecią Małgorzatę Kapusta z Mińska. Kilka prac wyróżniono.

W Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki w Zielonej Górze eksponowano prace plastyczne. Najlepsze zostały przesłane do Przedsiębiorstwa Upowszechniania Prasy i Książki w Gdańsku, gdzie zostanie urządzona ogólnokrajowa wystawa pokonkursowa prac plastycznych dzieci.

ZENON CZARNECKI

camera filatelistica

W tym roku filateliści będą poszukiwać znaczki pocztowych zawierających co najmniej pięć ośmierek, bowiem taką datę będzie można odczytać na każdym datowniku pocztowym ósmego sierpnia o godzinie ósmej rano (88.08.08). Na zachodzie Europy niektóre kasowniki mają także dodatkowe oznaczenia kodowe. Poszukiwanie więc miejscowości mającej kod 8888 (np. Blindheim, Kr. Dillingen) będzie nową zabawą wielu zbieraczy tego rodzaju filatelistycznych przesyłek. Niestety, nasze datowniki nie posiadają tych oznaczeń, a przecież nie tak dawno wprowadzono nowe wzory datowników (bardziej czytelne nazwy miejscowości, natomiast zbyt małe cyfry po-

wodują niemożność właściwego odczytania daty nadania przesyłki) i należało zapropagować oznaczenia kodów. Na marginesie tej notatki należy odnotować, że dotychczasowy spis pocztowych numerów adresowych pochodzi z 1974 r. i po 15 latach należałoby wydać nowy, bowiem zaszyły zmiany w podziale administracyjnym kraju i odszukanie numeru kodu pocztowego następuje wielce trudności nie tylko klientom poczty.

Od paru lat znaczki polskie tracą swoją pozycję w filatelistyce światowej. Jest to pospolita wina projektantów, jak i zakładów drukujących, ale również emfenta. W ubiegłym roku mieliśmy znaczki sportowe z przesuniętą perforacją wykonane w NRD, także

kilka pozycji, o których lepiej nie mówić. W tym roku urządzono nas serią olimpijską, która osiągnęła szczyty brzydoty. Sylwetki zawodników w trójskoku czy judo bardziej przypominają zdeformowane postacie świata wyobraźni Dudy-Gracza niż sportowe piękno ludzkiego ciała. Być może warszawskim decydom zależało na tym, aby obrzydzić nasz sport, ale przecież wspaniale to czynią sami zawodnicy. Wiele administracji pocztowych organizuje konkursy na projekty znaczków pocztowych. Zarówno sam plan emisji, jak i projekt znaczków poddawane są publicznej ocenie. U nas już rząd pracuje przy otwartej kurtynie, ale Poczta nie może zdobyć się na odwagę zaprezentowania społeczeństwu ani swoich najbliższych zamiarów, ani też projektów, które uzyskały akceptację, a przecież ukazują się pismo „Łączność”, wydawany jest „Filatelist”, także w innych pismach znalazłoby się miejsce na krytyczną ocenę zarówno samych projektów jak i wydrukowanych już znaczków. Poglądy na to zarówno wiedzę decydentów o różnorodności rozwiązań graficzno-malarskich miniatur znaczkowych jak i dodatnio wpłynęło na właściwe kształtowanie odczuć estetycznych społeczeństwa.

M. SŁAWOMIR



Reprodukujemy dwa znaczki z emisji „XXIV Igrzyska Olimpijskie — Seul” wydanej 27 czerwca br.

„NADODRZE” 10. VII — 23. VII. 1988.

22

9

70 LAT ODRODZONEJ POLSKI



WAKACYJNY KONKURS NASZEGO PISMA.

Główna nagroda: dwuosobowe wczasy świąteczno-noworoczne w Karkonoszach ufundowane przez Biuro Podróży „Lubuszanin” w Zielonej Górze. Ponadto wiele nagród rzeczowych i książkowych, które fundują Lubuski Komitet Upowszechniania Prasy i Lubuskie Towarzystwo Kultury w Zielonej Górze.



REGULAMIN

Konkurs składa się z czterech zestawów pytań, które poczynając od bieżącego publikować będziemy w kolejnych numerach „Nadodrza”. Aby wziąć udział w losowaniu nagród, wystarczy prawidłowo odpowiedzieć na pytania zawarte w jednym tylko zestawie — wyłącznie na drukowanym niżej kuponie. Nadesłanie większej ilości kuponów (także w jednej kopercie) zwiększa szansę w losowaniu nagród.

Wypełnione kupony prosimy przysyłać na adres: Redakcja „Nadodrza”, 65-958 Zielona Góra, skrytka pocztowa nr 40, z dopiskiem „Konkurs wakacyjny”. Czytelnicy, którzy nie zechcą czekać na ostatni zestaw pytań, mogą zaraz nadsyłać odpowiedzi a ich przyjmowanie zakończymy 20 września br. Wyniki losowania nagród ogłosimy w numerze 20/677, który ukaże się z datą 2-15 października br.

Zyczymy powodzenia!

rowie. „ostatowym ich wszystkim... aby łowili myszy — powiedział dyrektor zakładów przemysłu nowego w Iwanowie, a pięć delegatów wybuchło śmiechem. — A jeśli nie złodziej, nie dajmy im pensji. Osmogłówny się bez nich obejść. Idźcie żaden z nich pożytku”. o posprzeczano się też na temat. Znani radzieccy pisarze Jurij Iw i Władimir Karpow zarzucają nihilizm, nadużywanie „głównie nadmiernej krytykę radzieckiej prasy. Prasa wzięła w obronę Miłłanow, przewodniczący związku wykładowców kultury, który stwierdził, że swobody prasy nie może nastąpić na lepsze. Grigorij Bałka-redaktor czasopisma „Znamia”, inny radziecki pisarz, chwalił wy-nie Ulianowa powiedział, że Bon-y i Karpow wygłosili „haniebne ówienia”. „Wstydzili się za Język Konferencji, a przytoczy-ty tylko jego znikome próbki, do-że czasy „okrągłych przemów-ów w radzieckim życiu politycznym y do lamusa.

IX Wszechzwiązkowej Konferen-PZR z pewnością powstaną dzie-książek, bo było to wydarzenie yczne. Inicjator przebudowy Mi-Gorbaczow zdobył na niej „ko-punkt”. To też określenie zacho-dziennikarzy. Konferencja przy-ześć wielkiej miary dokumentów ających reformy systemu polity-zy ZSRR. Pierestrojka wkroczyła gi niezwykle trudny etap. Nie-twierdzą, że zdecydowanie on o-kości socjalizmu nie tylko w-ku Radzieckim.

JACEK WOCH

1

Dekretem Rady Komisarzy Ludowych z dn. 29 sierpnia 1918 r. anulowano „wszystkie akty i układy zawarte przez rząd byłego Imperium Rosyjskiego z rządami Królestwa Pruskiego oraz Imperium Austro-Węgierskiego dotyczące rozbioru Polski”.

Pytanie: a. Kto podpisał ten dekret? b. Jaka funkcję osoba ta pełniła w Radzie Komisarzy Ludowych?

2

Raport mój do Dowództwa Frontu.

Dworzec Rynarzewa oczyszczony. Zdobyliśmy pociąg pancerny: 6 wagonów, 1 armatę rewolwerową 3.8. Straty moje dosyć znaczne — 15 zabitych, między innymi dowódca kompanii gnieźnieńskiej Wachtel, 15 ciężko rannych, 10 lekko rannych... Pociąg wysłaliśmy do Szubina. Kulomiotów 11, amunicji dużo, także ręcznych granatów. Dwa wagony są wysadzone w powietrze. Nasz żołnierz świetnie się bawi.

Tomaszewski
dowódca II i III oddziału

Pytanie: W którym dniu, miesiącu i roku wybuchło powstanie, którego jeden z epizodów przedstawia za cytowany tu raport?

3

Z Belwederu na Zamek, tętnicą Warszawy, Alejami, Nowym Światem, Krakowskim Przedmieściem. Idzie kondukt żałobny, krepowy i krwawy: Drugi raz Pan Prezydent jest dzisiaj na mieście.

Zimny, sztywny, zakryty chorągwią i kirem, Jedzie Prezydent Martwy a wielki stokrotnie. Nie odwracajcie oczu! Stać i patrzeć, zbiry! Tak! Za karki was trzeba trzymać przy tym oknie!

Pytanie: a. Podaj imię i nazwisko prezydenta, którego pogrzeb opisuje cytowany powyżej fragment wiersza. b. Kto napisał ten wiersz?

4

Urodził się w 1873 r. w Siemianowicach, studiował prawo i ekonomię w Berlinie i Wrocławiu, redaktor „Górnolazaka”, poseł do Reichstagu w którym żądał przyłączenia do Polski Prus Królewskich, Gdańska Wielkopolski oraz Górnego i Średniego Śląska; komisarz plebiscytowy na Śląsku, jeden z przywódców powstań śląskich. W 1934 r. wyemigrował do Czechosłowacji, a następnie do Francji. Po powrocie do Polski aresztowany. Zmarł w 1939 r. w Warszawie.

Pytanie: Wymień imię i nazwisko osoby, której fragment życiorysu przedstawiamy powyżej.

nadodrze

Rozrywki umysłowe

ZAKŁAD LECZNICZO-WYPOCZYNKOWY	UKŁAD PRAWY DOPŁYW WISKY	INIE MIESKIE ZDOBIE SCIANE	SASA PSA SIATKA POLIGRA-FIGINA	SPOSÓB ARKENC-TOWANIA SKÓW	HENRYK VII SIARA BABA
	20		17		24
		9			
MIASTO T W ZBOR A DZIELI PIETRA	34		ZBORZE WISPA JU-GOSŁOW	22	7
6		13			
WYBORCA OTWÓR W POKŁADZIE RUFONIM				25	TOPOREK KOKA
	26	OGON SUKNI WIDMO		3	JEDMISTKA CISNIE-NIA, BARIA
PUSZY SIĘ GATUNEK KACZKI	PLECIONKA ZE SZNURA KONTUAR	15			
			BOHATERKA PO-WIEŚCI LUCY M. MONTGOMERY		2
POJAZD BA-RULEJA Z WIERZĄ J. BRZECHNY	12		DRZEWO IGŁASTE NADZORCA W FOLWARKU	40	29
SYNTETY-CZNY ŚRO-DEK ZNIE-CZULAJĄCY	4	27	CZEŚĆ SZYI COŚ NA OPAL		11
	31	STUCZNY JE-ZYK I POD-PARYSKA MIĘSCOWOŚĆ		CYGANKA Z „CHATY ZA WSIA”	19
NR TENIS	MA IMIENINY 11 VI	8			14
		ROZWOZI WĘGIEL	33	5	23
PRZYWÓD-CIA SEKTY HINDUIS-TYCZNEJ	20	DAWNY UBIÓR, WĘGIER-KA	18		16

KRZYŻÓWKA PANORAMICZNA

Opr. WIESŁAW PIŻEWICZ

Zielonogórski Klub Szaradzystów „Labrys”

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 34 utworzą rozwiązanie — aforyzm Boh-dana Czeskiego, który prosimy przesłać na adres naszej redakcji w terminie 14 dni od daty ukazania się numeru, z naklejonym (zamieszczonym obok) kuponem. Do wylosowania będą dwie nagrody książkowe po ok. 1000 zł.



Rozwiązanie krzyżówki z nr 12 oraz wyniki losowania nagród podamy w następnym numerze.

KAZIMIERZ JAKUBOWSKI
wiceprezydent Zielonej Góry



w karykaturze LESZKA HERMANOWICZA